



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

EKSPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

POGA WĘDKA.

Nie odzywałem się tak dawno z tego miejsca, że wypadłoby się chyba przedstawić czytelnikom, gdybym od kilkunastu lat nie był ich dobrym znajomym i z tego tytułu nie śmiał liczyć na ich łaskawą wyrozumiałość i względy dla kronikarza, który—ma prawo także do wypoczynku, do jakichś wakacji i wywczasu, tembardziej, gdy nie tak często z tego korzysta.

Skusiło mnie tegoroczne lato, aby się wyprządnąć z jarzma i pójść na trawę;—dałem się skusić bardzo łatwo i bardzo chętnie, bo stękały już we mnie wszystkie nerwy i jęczała strudzona głowa, jakby w niej szwy się rozchodziły.

Po kilku tygodniach jestem dziś znowu na stanowisku i melduję się z piórem w ręku, jak urlopnik, który wrócił do szeregu.

Ja się tu tłumaczę z mojej nieobecności a niejedna z czytelniczek gotowa ze zdziwieniem spojrzeć na mnie i spytać:

— Panna nie było aż kilka tygodni?... weale tego nie zauważyłam.

Moja kronikarska miłość własna byłaby tem wielce dotknięta, ale nie dziwiłbym się weale takiej nieuwadze w tym czasie, gdy wszelka „pogawędka“ jest o tyle przyjemna i zajmująca, o ile ją się prowadzi w cieniu prawdziwych bluszczów na werendzie pięknej willi, pod zielonem sklepieniem lasu, na szmaragdowym kobiercu łąki, na piaszczystem wybrzeżu morza, słowem — na łonie natury, ale nie pod Bluszczem... papierowym.

Willegiatura porwała całe tłumy z miejskiego bruku; Warszawa przycichła, schudła, ocieżała, jak zwykle o tej porze, w której według słów biednego Stebelskiego: „został tylko po kantorach

tłum helotów białych, sennych, tylko panny z magazynów i młodzieńcy z pism codziennych.“

Dla tych ostatnich rozpoczęło się właśnie żniwo ogródkowe.

Co lato wynurza się gdzieś z redakcyjnych ciemiów cały zastęp „panów z prassy“, którzy z miną butną, wielką, rozsiadają się w pierwszym rzędzie krzeseł po teatrzykach, biorą w ręce ogromne kwaze stalowe, niby berła krytyki, udają znawców, protegują sztuki i młode talenta i rzna, albo smarują recenzje, które dreszczem zachwyty lub zgromy przejmują panów dyrektorów i restauratorów ogródkowych.

Melpomenka koczująca rozbiła sobie w tym sezonie trzy namiociki, w Belle-Vue, Wodewilu i Eldorado, a ze wszystkich rozbrzmiewa głównie operetka, cała lub w kawałkach; gdy się doda do tego Teatr Nowy przy ulicy Królewskiej, w którym zawsze jeszcze nieśmiertelny „Ptasznik z Tyrolu“ i „Dziecko szczęścia, czyli Ludwik Śliwiński“ na przemian to schodzą, to wylazą na afisz, możemy powiedzieć, że operetka stanowi jedyny kadryl w dwie pary, który przed oczyma publiczności balansuje nieustannie w tym sezonie.

I co to pomoże panom dyrektorom prawić kazania na początku i na końcu każdego ogródkowego sezonu: „Panowie, szanujcie sztukę, szanujcie publiczność, pomyślcie o reformie, nie idźcie owczym pędem w jednym kierunku, zbierzcie dobre siły, ułóżcie zajmujący repertoar, specjalizujcie się!“

Panowie dyrektrowie kiwają głowami, uśmiechają się słodko, kładąc rękę na sercu i powtarzają machinalnie, „o tak, tak, tak!“ a potem idą do drukarni i zamawiają od razu afisz z ogromnym tytułem: „Dziesięć dni w Pirenejach“, „Cagliostro w Wiedniu“, „Camargo“ i t. p.

— Cóż począć,—tłumaczą się potem—operetka robi, a co innego nie robi.

To „robi“ ma znaczyć, że daje dochód i ściągają publiczność.

— Zresztą, z kądem mamy brać te inne sztuki? — powiadają dalej — oryginalnych niema, tłumaczone robią klape, starzyzna już ograna.

Jest w tem część prawdy, ale nie cała prawda.

Twórczość oryginalna u nas sączy się kropelkami; lepsi autorowie nie chcą dawać sztuk swoich do ogródków, bo albo żal im pracy, narażonej na złą grę i lichą wystawę, albo zrażeni są załatwianiem rachunków po wystawieniu.

Bywały wypadki, że regulować je musiano dopiero przez komornika.

Co do tłumaczonych sztuk, to możnaby znaleźć materiału jeszcze dosyć, gdyby, się ktoś umiał i chciał zająć odpowiednim wyborem, ale do tego potrzebaby znać trochę lepiej repertoar obcy, umieć choć trochę po niemiecku lub po francuzku. Przydałoby się szukać, czytać sprawozdania, a nie liczyć tylko na sam przypadek i na tego kogoś, co sam przyniesie jakiś przekład już gotowy.

Przypadek czasem robi przysługi i niespodzianki; zeszłej soboty np. zrobił ją dyrekcji Wodewilu; wystawiono tam dramat ludowy L. Anzengruber'a p. t. „Krzywoprzysięzca“, weale zręcznie zlokalizowany i spolszczony przez jakiegoś beziennego tłumacza.

I pokazało się, że istnieje repertoar godniejszy scen ogródkowych od fars i bomb, które nikomu pociechy nie sprawiają, ani pożytku nie przynoszą.

Prawda, że autorów takich, jak L. Anzengruber, nie wielu mają zagranicą, nie tylko w Niemczech; talent to prawdziwy i niepospolity, świeży, żywotny, energiczny, który umiał podpatrywać naturę z bystrością nadzwyczajną, szczegółniej w typach i obrazach ludowych; umiał tym chłopom swoim zaglądnąć w samą głąb duszy i serca, a malował ich z fotograficzną wiernością—i znał się na efekcie scenicznym, jak mało który z pisarzy współczesnych.

Pierwsza sztuka jego wystawiona na scenie ogródkowej „wzięła“ od razu publiczność i kryty-

kę; dziwiono się, że takiego autora nie nadpoczęto u nas wcale, podczas gdy tylu innych próbowano nadarmo spopularyzować.

— Jednak wie pan—mówił mi w antrakcie pewien bywalec teatralny — to doskonała sztuka, tylko szkoda, że ludowa; nam się już ten rodzaj trochę przejadł, wolelibyśmy coś innego dla odmiany.

— Naprzykład?..

— Coś nowego.

Ba, w tem właśnie sęk!.. zkad tu nastarczyć tych nowości przesyconemu Molochowi, który się nazywa publicznością?..

Mamy wprawdzie sperandę, że się zaroi od komedii i dramatów, ale dopiero na jesieni, gdy się rozstrzygną dwa konkursy, jeden w Krakowie, drugi w Warszawie; tam wybierać będą sztukę na otwarcie nowego teatru, tu na otwarcie nowego sezonu.

„Kurier Warszawski“, który z okazji przebudowania wielkiej sceny ogłosił konkurs dramatyczny z pokątną nagrodą w kwocie całego tysiąca rubli za najlepszą komedię, a pięciuset za drugą po niej, wpadł teraz na szczęśliwy i nowy pomysł rozstrzygnięcia konkursu.

Aby uniknąć zawodów, które tak często narażały wyroki sędziów i sławę laureatów wieńczonych, zalecone przez jury sztuki, mające prawo ubiegania się o nagrodę, zostaną ewentualnie wystawione w pierw na scenie Rozmaitości, a dopiero po tej ogniowej próbie zapadnie wyrok sędziów.

Jest to innowacja bardzo trafna, mająca za sobą wiele dodatków względów, dla wyróżnionych zaś autorów ma tę korzyść, że z góry zapewnia im przyjęcie sztuki na scenę i wynagrodzenie materialne, jak na dotychczasowe warunki, wcale pokątnie.

Nowa dyrektywa teatrów bowiem po porozumieniu się z redakcją „Kuriera“, pragnąc przyjąć w pomoc najlepszemu wynikowi konkursu, zgodziła się w możliwie najkrótszym czasie wystawić wszystkie sztuki zalecone przez jury, wypłacić za każdą honorarium w kwocie rs. 300, a nadto dodać z pięciu przedstawień 5% tantiemy tym autorom, których utwory konkursowe najwięcej przyniosą teatrowi dochodu.

To kassowe powodzenie wszelako nie będzie decydowało o przyznaniu nagrody, i słusznie, bo środek taki mógłby być niesprawiedliwym; nie zawsze najlepsze sztuki zapełniają teatr, a nie jedna farsa miała więcej widzów i oklasków, niż poważny dramat lub komedia.

Wyrok wydadzą sędziowie, nie troszcząc się o zdanie publiczności i o rezultaty kassowe; zobaczą sztuki na scenie i wybiorą według swojego krytycznego zdania.

Na Wrzesień tedy dla naszych teatromanów przygotowuje się cały szereg wieczorów zajmujących i wrażeń; przynajmniej się, że dla mnie najciekawsze będą... antrakty na owych konkursowych widowiskach, w których urabiać się będzie opinia, ścierać krytyka i agitować koleżeńską — intryżka.

Całe nieszczęście, że dla pewnych zbyt wrażliwych autorów i recenzentów naszych, przedstawienia te wypadną na jesień, t. j. wtedy, kiedy prawdopodobnie rozwieje się już widmo grożącej obecnie cholery, — inaczej obawiałbym się o ich zdrowie i życie.

Należy wystrzegać się irytacji, — powtarza się przestroga we wszystkich radach i wskazówkach, mających zabezpieczyć nas przed epidemią, która wkrada się do Europy Środkowej z trzech stron jednocześnie, bo od Wschodu, Południa i Zachodu.

Niema jednak złego, coby na dobre nie wyszło.

Cholera może nas odwiedzić lub nieodwiedzić, w każdym razie o tyle dobrego działa, że ze strachu przed nią prowadzić będziemy przez lato życie higieniczne, porządne, wstrzemięźliwe, dbać więcej o swoje zdrowie, unikać nadużyć a przede wszystkim dbać o większą czystość.

Energiecznie zabrano się już na samo przypuszczenie o możliwej wizycie tak nieprzyjemnego gościa do wymiatania wszystkich kałów, splukiwania wszelkich brudów, usuwania wszelkich śmieci.

Wiadomo bowiem, że cholera to gość, który nie lubi wstępować do tych, co dom swój na jej przy-

jęcie przygotowują; ona woli takich, co się o nią nie troszczą, co ją lekceważą, których może napasać zniechęca, woli wlać od tyłu przez brudną kuchnię i zaśmiecone wschody, niż od frontu przez główne wejście, gdzie się trzeba meldować w przedpokoju.

Nie lubi także tych, którzy się jej boją, bo wtedy jakby się czuła urażoną, mści się najwięcej za taki despekt.

W ogóle to pani niewybredna i złych obyczajów, która sobie szuka złego towarzystwa, niechlujnych miejsc, dusznej atmosfery; gdzie tego nie znajdzie, tam długo nie popasa.

Wszelka krańcowość także ją drażni; za puste i za pełne żołądki jednako gniecie i dokucza im bez litości.

Z tej przyczyny przeczorni higieniści każą się w tych czasach odżywiać umiarkowanie, ale odżywiać koniecznie; nie jest to zadanie trudne dla tych, którzy mają co jeść, lecz dla tych, co nie mają czego w usta włożyć, kwestya jeszcze bardziej się komplikuje.

Byłaby rada na to jedyna, aby ci, którzy nie powinni się obijać, choć im starczy powyżej uszu, odstępowali część swej przewyżki na karmienie tych, co nie powinni być głodni.

Filantropia zatem ma sposobność skojarzenia się tutaj z higieną...

W „Kurjerze Codziennym“ przeczytałem przed kilku dniami ciekawy artykuł o koninie, która, zdaniem berlińskiego towarzystwa opieki nad zwierzętami, powinna być stać mięsem ubogich i żywić głodne masy.

Gusta się zmieniają; pamiętam przed laty kilkunastu z powodu tej samej kwestyi rozpisywano się w dziennikach mniej przychylnie; dzisiaj twierdzą, że mięso końskie, chociaż słodkawe i mdłe, smakuje przednio, jak siekana wołowina, jak gęś, a ma nawet tę wyższość nad innymi mięsami, że się daje dłużej przechowywać i nie bywa zakażone chorobami, które trapią barany, wieprze, krowy i t. d.

Chodzi jeszcze o to, czy dłuższe żywienie się koniną wpływa dobrze na organizm; jeżeli i pod tym względem mięso to wytrzyma próbę, kto wie czy na wzór Niemców nie zaczniemy u siebie zaprowadzać garkuchni dla ubogich, w których końskie befsztiki, rozbratle i poledwice należeć będą do stałego menu, zamiast dzisiejszych krupników, kasz, kartofli i klusek, rozpychających głodne żołądki a niedających tyle pożywienia organizmowi, co jakiegokolwiek mięso.

Nie jest to wszelako rzeczą tak łatwą przemódz wstręt czy uprzedzenie do pewnego jada, a wzbudzić do niego apetyt i zaufanie w konserwatywnych pod względem żywienia się massach; język, podniebienie i żołądek mają swoje prawa i swoje widzimisie.

Nie mało czasu wymagało w Europie przyswojenie kartofli od wieku XV-go do XVIII-go i przekonanie ludzi, że to rzecz smaczna i nieszkodliwa, łatwo strawna i doskonała na pożywienie.

Może tak będzie i z koniną.

Mniejsza ostatecznie o to jak, byle było czem spełniać chrześcijański uczynek karmienia głodnych, których przybywa coraz więcej w miarę trudniejszych warunków pracy i zarobku na własny kęs chleba.

Zaczęłam z wielkiem zajęciem czytać w „Gazecie polskiej“ artykuły pana Z. P. „o zakładach dobroczynnych na prowincyi“, w których z widoczną znajomością rzeczy i stosunków autor rozbiera filantropijną działalność w szerszych granicach poza Warszawą i dochodzi do przekonania, że wszystko to jest jeszcze napełnianiem beczki Danaid, kapaniną grosza, który znika bez śladu i rzeczywistej pomocy nie dostarcza.

Jałmużny i pojedyncze datki od czasu do czasu nie zaradzą potrzebom, ponawiającym się z dnia na dzień.

„Zagranica, szczególnie Ameryka północna — powiada p. Z. P. — kieruje się pod tym względem zasadami racjonalniejszymi. Tam wyznawcy i organizatorowie filantropii wolą najdrobniejsze datki skupiać na zakłady, któreby zapewniły trwalszą opiekę zniedołężniałym, a nieletnim, rzuconym na pastwę losu dały możność zdobycia jakiegobądź uzdolnienia zawodowego. Na Zachodzie

przedsiębiorcy i przemysłowcy oddawna nakreślili w programie własnego interesu tworzenie bezpłatnych szkół rzemieślniczych zawodowych, które dostarczają im po latach kilku zastępu zdolnych i dogodnych pracowników. U nas tego rodzaju pomoc i opieka dopiero nad dziećmi ubogimi w ostatnich czasach tu i ówdzie zaczynają się zaznaczać.“

Mniej atoli miłosierdzie publiczne pamięta o tych, którzy to życie kończą w nędzy, biedzie i opuszczeniu. W miastach, miasteczkach i po wsiach uderza wielka liczba starców i kalek, żyjąca o żebraczym chlebie.

Otoż autor radzi organizować, czy-to ofiarnością publiczną, czy kosztem gmin przytulki mniejsze, lecz stałe w rozmaitych okolicach kraju; powiada dalej, że zadaniem ludzi wpływowych, np. duchowieństwa, powinno być podsuwanie uwadze ludzi zamożnych a miłosiernych, pragnących z mienia swego robić dobry, humanitarny użytek — spraw i celów niecierpiących zwłoki, jak fundacye szpitalne, przytulki dla ubogich, domy dla starców, i t. p.

Warszawa pod tym względem dawała i daje dobry przykład prowincyi, ale trudno, aby ona sama jedna za wszystkich, za cały ogół starczyła; miasto z ludnością dobiegającą do pół miliona i ze znacznym proletaryatem ma dosyć swoich własnych potrzeb; dobroczynność kosztuje ją też drogo, a o koniecznej decentralizacyi filantropii od dawna pisało się i mówiło wiele, niestety — bez wielkiego rezultatu.

Na pochwałę nieustannych dążeń w kierunku filantropijnym mogę zapisać znowu wiadomość, iż urzędy cechowe zabrały się ponownie do rozpatrzenia projektu założenia przytulki dla starych, zniedołężniałych rzemieślników. Droga dobrowolnych składek, tudzież ofiar ze strony zamożniejszych majstrów, spodziewają się inicjatorowie zgromadzić kapitał, potrzebny na założenie takiego schroniska dla spracowanych.

Jakże często zdarza się, że o jałmużnę wyciąga rękę kaleka lub starzec, a prosząc o wsparcie litościwe osoby, dodaje: „były rzemieślnik, stolarz, szewc, krawiec“ i t. p. Choroba, niepowodzenia losu, często własna niezaradność przyprowadziły go do nędzy, rzuciły na bruk, zrobiły żebrakiem; dla takich rozbitków wykolejonych, największym dobrodziejstwem byłby jaki kąs cichy i łyżka strawy na stare lata.

Zresztą dla godności stanu należy pomyśleć o tem, aby zubożały rzemieślnik znalazł wsparcie z rąk towarzyszy zawodu, a nie tulał się i nie musiał schodzić na dziady.

Radykalna Sparta z niedołącznemi dziećmi i starcami radziła sobie krótko, aby nie były ciężarem społeczeństwu; wysyłała ich na drugi brzeg Styxu i pozbywała się kłopotu.

Pod tym względem ludzkość znacznie postąpiła, nie zaprzeczając prawa do życia nawet tym, którym go natura nie wiele już zostawia.

Przeciwnie, humanitaryzm walczy nawet z naturą, ratując słabsze jednostki od zagłady; jedną z takich zaszczytnych walk prowadzi się u nas od lat dziesięciu na letnich koloniach dla słabowitych dzieci. Z wielką pociechą wyczytałem, iż w roku bieżącym komitet, zajmujący się biednymi mizerotkami warszawskimi wysłał już dotychczas przeszło 400 chłopców i dziewczynek na wieś a zamierza jeszcze przy pomocy dobrych ludzi ze 400 umieścić w czternastu wybranych miejscowościach.

W ogólnym wyniku znaczyłoby to, że o trzecią część więcej drobnego biedactwa korzystałoby z tego dobrodziejstwa w roku bieżącym, niż w roku zeszłym.

Ofiarność publiczna hojną ręką wsparła usiłowania komitetu; cześć jej za to!..

Alę zawsze jeszcze jeden brak domaga się koniecznie załatwienia; oto pomimo odezów i pomimo ofiar nie starczy ubrania, bielizny i obowią szczególnie dla małych kolonistów, między którymi znalazł się biedak tak obdarty, że go nawet w pierwszych partyach z innemi dziećmi niepodobna było wysłać na wieś, bo prędzej kwalifikowałby się był do rajy, gdzie niema przesądów żadnych co do mody i ubioru, aniżeli na towa-

rzysza wyprawy nawet w najbardziej lesiste okolicy.

Aniołkom wolno latać nago i boso po niebie, ale biednym dzieciom nie pozwalają chodzić tak po ziemi... przyzwoitość i warunki klimatyczne.

Pomyślcie o tem wy wszyscy, którym dzieci powyrastały ze starych sukienek, spencerków, bucików, etc. etc. i nie zwlekając, poszlście tobołki takiej odzieży do redakcyi *Kuryera Porannego* lub *Gazety Warszawskiej*.

Kiedy tak czytam sprawozdania po dziennikach z pomyślnych wyników tegorocznych działań i starań komitetu kolonii letnich, jeden żal tylko mąci mi wrażenia dodatnie; przypominam sobie świeżą mogiłę D-ra Fritschego, człowieka najbardziej zasłużonego około rozwoju tej poczeiwej myśli i humanitarnej instytucji, która dziesiąty rok już obdziela zdrowiem i siłą setki ubogich dzieci warszawskich.

Jaką dumą, radością i zadowoleniem wezbrało by serce jego, gdyby widział, że marzenie jego się urzeczywistnia i już nie daleko do tysiąca dojdzie liczba wysyłanych mizeraczków z Warszawy!..

Należałoby jednak na upamiętnienie tego dziesięciolecia spłacić dług wdzięczności i pamięci najgorliwszego protektora osad letnich, który tak gorąco niemi się zajmował, tyle dbał o nie i niezmordowanie pracował niemal przez rok cały dla zabezpieczenia im bytu, środków i rozwoju.

Prosty kamień z napisem, medalion z jego rysami, prośba o „światło wieknie“ szeptana stała w modlitwie przez usta wdzięcznych dzieci na koloniach, uczyniłyby zadość temu obowiązki, jaki względem pamięci i zasług nieboszczyka pozostaje do spełnienia.

Inne dziesięciolecie obchodziła instytucja pięknym nazwiskiem ozdobiona a mająca w swoim rodzaju bardzo poważne cele i zadania przed sobą; mówię tu o Kassie Mianowskiego.

Z wydanego sprawozdania za rok zeszły widać, że tym celom zadosyć czyniła, śpiesząc z materialną pomocą i zachętą ludziom, pracującym dla nauki. Na 68 podań wniesionych w roku 1891-ym o zapomogi i pożyczki komitet załatwił przychylnie w całości lub w części 44, a na 24 był zmuszony udzielić odmownej odpowiedzi. Rozdał też około 10.000 rs., co znowu nie jest tak znaczną sumą, ofiarowaną dla celów naukowych, ale, niestety, więcej środków nie posiadał w swoim budżecie.

Z zestawienia liczb co gorsza, przychodzi się do smutnego wniosku, iż cele kassy, los pracowników wiedzy i rozwój nauki, zamiast coraz większy, coraz mniejszy budzą interes u ogółu. Przed laty czterema Kassa Mianowskiego liczyła 750 członków, w roku zeszłym liczba ta spadła do 591, jakkolwiek warunek do tytułu mecenasa nauki jest tak łatwym do spełnienia: potrzeba tylko na ten cel poświęcić wszystkiego 5 rs. rocznie.

Okazało się jednak, że i ta ofiara jest za wielką dla ludzi, którzy doszli do przekonania, iż nauka — i grosza nie warta nb. z ich kieszeni.

Nazywałoby się to brzydkim obskurantyzmem, gdyby rzeczywiście z takiego przekonania płynęło to zubożenie dla instytucji tego rodzaju, co kassa Mianowskiego, ale ono ma inne motyw na swoje usprawiedliwienie.

— Widzisz dobrodzieju — odpowie ten i ów, zagadnięty w tej sprawie — człowiek musi się z każdym groszem liczyć, a tu, panie, ledwie końce z sobą związać można. W kieszeni płótno, wydatki rosna a dochodów w zeszłym roku nie było. Bóg wie, jak to tam będzie z rokiem bieżącym. Urodzaje niby ten... tego... jakoś się nie źle zapowiadają (na psa urok!), ale co to jeszcze można wiedzieć! Zobaczysz się dopiero, gdy człowiek zbierze zwiezie, zmłóci, zważy, odmierzy i sprzeda; przedtem to trudno coś na pewne orzeknąć.

Tak mniej więcej mówiliby ziemianie; mieszcuchy zaś w podobnym tonie, tylko z pewnymi waracjami dowodziliby:

— Proszę ja pana, mięso zdrożało, chleb zdrożał, cukier zdrożał, człowiek już nie wie, co pociąć i z kądem na wszystkie nastarczyć, gdzie ma tam myśleć o jakichś kassach! Ja przecie za pięć rubli wolę kupić parę bucików dla córki, — no, i t. p.

Zresztą ten temat obecnie nie do dyskusji; każdy ma głowę czem innem zajętą i wszelkie słowa lecają z wiatrem podczas letniego sezonu.

Przyjdzie jesień, powrócimy do tego.

Daj tylko Boże doczekać tej jesieni w dobrym zdrowiu, bez cholery i płynących przed nią strachów!...

Quis

NIE TRWÓŻ SIĘ!

Nie trwóż się, siostró, gdy na dnie kielicha,

Z któregoś piła w życia swego wiośnie,
Zamiast nektaru, ujrzyś gorzkie męty!
Nie trwóż się, jeśli w pączku kwiat usycha,
Przechodnia ręką bezlitośnie ścięty,
W chwili, gdy w niebo spoglądał radośnie
I zadumany śnił o słońcu złotem.

Nie trwóż się, jeśli po dziennym upale
Gromowe chmury zakryją błękity,
Piorun upadnie na ziemię z łoskotem,
Zadrzą drzemiące zielonych gór szczyty,
Zewsząd się wycia rozlegną szakale
I anioł śmierci swe skrzydła rozwinie.

Nie trwóż się, siostró, gdy w człowieczem łonie
Nienawiść dzika i brud życia płynie
Obok miłości najczystszej kryształu;
Gdy myśl zacniejsza w zapomnieniu tonie
I czyn, zrodzony pod technieniem zapalu.

Nie trwóż się, siostró! Nie straszne są męty
I śmierć nie straszna w młodych dni rozkwicie:
W goryczy czar się ukrywa zaklęty,
Z uścisków śmierci wstaje nowe życie.
Nie straszny obraz zniszczenia po burzy,
Nie straszna ludzkiej dwulicość natury:
Wszak obraz zniszczeń i chaos ponury
Zawsze wschód słońca wśród błękitów wróży;
Wszak pierś człowiecza, gdy życiem się pali,
Zarówno cnotę i zbrodnię kryształ;

Natomiast straszny duch, co ciągle kona,
Co nie nie tworzy i sam sobie przeczy; —
Straszne tytanów skarłate plemiona —
I najstraszniejsza — nicosć we wszechrzeczy.

J. Nitowski.

KRZYSZTOF KOLUMB

(Dalszy ciąg).

Niewyjaśnione są dotychczas okoliczności, które zagroziły Kolumbowi odpowiedzialnością przed sądami portugalskimi; list wszakże króla Jana II, pisany w r. 1488 do późniejszego odkrywcy lądów, nie pozwala wątpić o samym fałszu zagrożenia: król obiecuje tu bezkarność i daje glejt. Wpadając z jednej okoliczności w drugą, najnowsi biografowie (Winsor) domyślają się jakiegos przestępstwa; prawdopodobniejszy jest domysł jakiejś niegrzeczności względem króla i dworu po odrzuceniu projektu wyprawy. Rok 1485 zastaje Kolumba już w Hiszpanii wraz z czteroletnim synkiem Diego. Przez rok cały trzymał go u siebie książę Medina Celi, zajęty żywo jego zamiarami;

wkrótce zjawił się i drugi orędownik w osobie księcia de Medina Sidonia. Na wiosnę 1486 r. wyjednali oni zbiegowi portugalskiemu posłuchanie u Ferdynanda i Izabelli, dokonywujących wówczas podboju królestwa Granady. Kolumb stawił się na dworze w Kordubie i myślom, które mu głowę rozpały, dał wybuch swobodny, wymowny, porywający. Podbił odrazu umysł królowej, ale rozważniejszy Arragończyk zapalał żonine ostudził i przez lat pięć już potem trzymał w letniej temperaturze życzliwości bez czynu. Pano wie dworsey: Luiz Santangel, Don Diego de Deza, późniejszy arcybiskup Sewilli, i Juan Cabrero trzymali z natchnionym romantykiem przestworu ziemskiego. Zającui się Izabelli, poparciu tych dostojników, zawdzięczał Kolumb wyznaczenie komissji z „uczonych mężów“, która, w Salamance zasiadłszy, wysłuchała projektu, rozważyła go i zaleciła — wyczekiwanie. Jakoż puszczono sprawę w odwłokę. Zawiedziony powtórnie, Kolumb, korzystając z gościnności i pomocy swych orędowników, mieszkał w markotnym odosobnieniu, bądź w Sewilli, bądź w Kordubie, z coraz niżej nadzieją, aby Hiszpania mogła mu już dostarczyć środków do urzeczywistnienia drogiego ideału, i przez brata swego Don Diego szturmował to do Anglii, to do Francji, zali tam nie znajdzie większej odwagi, silniejszej woli, skłonniejszej gotowości. W r. 1488 w pomienionym liście swoim król Jan ofiarowywał mu się z pomocą wszelką do zamierzonej podróży. Ale Kolumb nie chciał już wracać tam z kądem raz wyszedł; poczekaj jeszcze trzy lata, a sprzykrzywszy sobie bezczynność i wyczekiwanie bez końca w r. 1491 postanowił opuścić Hiszpanię.

Czy zamierzał do ojczyzny powrócić, czy też bez zamiaru wyraźnego wprost rzucił kraj, w którym go już pod stopami paliło — od doznanego zawodu? A zawód to był podwójny: raz dla człowieka piastującego jakąś myśl umiłowaną, której ludzie nie rozumieją, albo też rozumiejąc, przyjmują ozięble, drugi raz dla jednostki towarzysko-społecznej, którą opuściło to, co jej było dotychczas poparciem. Z tego niedostatku, z tej biedy, w jakiej Kolumb swój zamiar porzucenia Hiszpanii urzeczywistniał, widać, że potężni i bogaci orędownicy jego pierwszych lat pobytu na ziemi hiszpańskiej, choćby tylko chwilowo, puścili go na cztery wiatry. Był to moment w życiu znakomitego człowieka bolesny, a przytem dziwnie pociągający do jego osoby — i zarazem do całego wieku, który umiał równie prędko wydobyć z niedoli, jak w nią wtrącić.

Zniechęcony do świata, ale nietknięty i niepokalany w swej wierze i miłości umysłowej, w r. 1491 zabrał Kolumb swego synka i pieszo z Sewilli powędrował do przystani Palos, w Andaluzji, nad Morzem Śródziemnem. Po drodze, zmęczony, zbolący i omdlały, głodny, może chory, zakładał do wrót klasztoru w Rabida. Przeor wystąpił spowiedzi nieszczęścia, zatrzymał, ugościł, nakarmił, pocieszył — i, nie ograniczając się na duchownem posłannictwie swoim, odważnie napisał do królowej, podówczas w Santa-Fe pod oblężoną Granadą, opowiadając komu-to i w jakim stanie dał przytułek w swym klasztorze. Królowa przysłała zaraz 53 dukaty, zobowiązała się dać trzy statki na wyprawę i poleciła czekać blizkiego już poddania się Granady, która lada chwila upaść musi. Chwila ta trwała znowu blisko rok cały. Kolumb znowu się niecierpliwił. Oboje królestwo ściągnęli go do siebie. Z Santa Fe oglądał człowiek natchniony upadek potęgi Maurów. Gdy na początku Stycznia 1492 r. Królowa odrzuciła jego waranki, podobne do owych postawionych Janowi II, przyszły odkrywca Ameryki chciał już uciekać do Francji. Ale pogoń wysłana z dworu dopędziła go o dwie mile od stolicy Maurów, w Pinos na moście, i sprowadziła napowrót do rezydencji królewskiej. Zmógłszy niewiernych, Ferdynand teraz już gotów był podjąć myśl, na którą przedtem patrzył jak na fantastyczne marzenie.

D. 17 Kwietnia 1492 r. stanął w Santa-Fe formalny układ podpisany przez Kolumba i oboje królestwo. Rokowania prowadził tajny sekretarz dworu Jan de Coloma. Podanie o gotowości Izabelli kastyjskiej do zastawienia nawet klejno-

tów na pokrycie kosztów wyprawy — jest sentymentalną bajką. Koszta, które wzięła na siebie korona Kastylji, podawane na milion 140.000 *maravedi*ów czyli 3.040 dukatów, nie były znowu tak wielkie, aby ich skarb publiczny pokryć nie mógł, a to samo już, że za przyjęciem warunków Kolumba i niewypuszczeniem go z kraju przemawiał jego orędownik z r. 1486, skarbnik Santangel, daje wskazówkę, że brak środków pieniężnych nie stawał wprost na drodze do celu: stawały warunki narzucone przez Kolumba, a będące prawie dosłownym powtórzeniem dawniejszych, o które rozbiła się była projektowana wyprawa portugalska. Jeżeli je Ferdynand, przy niezmiernie powściągliwości i prawdziwym już swoim sknerstwie politycznym, przyjął, wielki musiał mieć wpływ na jego umysł pierwszy szambelan Cabrero, znany już ze swej życzliwości dla Kolumba. Dla zjednoczonych koron aragońskiej, kastylskiej i granadzkiej były to warunki twarde. Kolumb dostawał admiralstwo dziedziczne na prawach wielkich admirałów Kastylji, z partykułą „Don“ przed imieniem i nazwiskiem; na wszystkich morzach oblewających wyspy, któreby odkrył, miał sprawować władzę najwyższego rozkazodawcy; na wyspach i w ogóle lądach nowych zostawał gubernatorem generalnym, vice-królem, z prawem przedstawiania rządowi trzech kandydatów na każdy urząd. Umowa zapewniła mu dziesięcinę z wszelkich płodów naturalnych i prawo udziału w każdym przedsiębiorstwie handlowym w stosunku jednej ósmej całości nakładu.

Wyprawa składać się miała z trzech statków silniejszej budowy, zwanych wówczas „karawelami“. Oprócz samego państwa do zupełnego jej zaopatrzenia przyczyniły się i dwa miasta: Sewilla i owa przystań Palos, do której Kolumb w roku 1491 uciekał z Hiszpanii: stolica Andaluzji dała *armadę* t. j. uzbrojenie i prowiant, Palos wynajęło dwa statki z trzech zawarowanych umową i złożyło żołąd z góry. Jak dalece lekceważono sobie przestrzeń między Europą a owymi Indiami azjatyckimi, do których dotrzeć miał Kolumb, — widać to z czasu, na jaki wynajęto statki i wypłacono pensye załodze — dwa i cztery miesiące. Osiadła w Palos rodzina Pinzonów, z krwią marynarską w żyłach, pośpieszyła z czynną pomocą, tak w przygotowaniu jak później w dowództwie wyprawy. Przygotowania prowadzono w Palos, gdzie Kolumb od środka Maja 1492 r. stale już przebywał, doglądając całego przedsięwzięcia. W końcu Lipca roboty były już ukończone. Trzy statki stały gotowe do odpłynięcia, z 90 ludźmi właściwej załogi; największy „Santa Maria“ (Marigalante) obrał Kolumb dla siebie, średnim, „Pinta“, dowodził Alonso Pinzon, najmniejszym, „Nina“ — Vicente Pinzon. Król dał wyprawie swego kapłana do posługi religijnej i notaryusza do urzędowego stwierdzenia faktów. Znalazł się też i lekarz. Nikt nie wątpił, że w razie powodzenia Kolumb dopłyne do brzegów państwa wielkiego chana w pomienionej „India superior“ mapy żeglarskiej Portugalczyków, i dlatego twórca śmiałego przedsięwzięcia otrzymał listy polecające od króla i królowej do owego, jak go wówczas w Hiszpanii i we Włoszech nazywano „Chagan’a“ albo „Grancan’a“. Zaopatrzone w pieniądze, które oddano umyślnemu skarbnikowi, wyruszył „wielki admirał“ d. 3 Sierpnia 1492 r. w dzień piątkowy z Palos ku cieśninie gibraltarskiej. Zegnano odpływających z wielkim wzruszeniem — o błogosławieństwem i modlitwą, z radością i trwogą. Dla ludzkości całej ten poranek, w którego mgłach zniknęła Pajończykom z przed oczu mała flotylla — był chwilą uroczystą. I dziś jeszcze, na jego wspomnienie, pierś się ludzka podnosi.

Kolumb, wyruszając w podróż, zabrał ze sobą, prócz innych, także i wiadomą mapę Toscanellogo, a z narzędzi astronomicznych astrolab i kwadrant, z którymi dobrze obchodzić się umiał. Na mapie uzonego Włocha zwrotnik Raka przecinał zarazem Wyspy Kanaryjskie i ową wielką Zipangui, której Kolumb pominąć w podróży swej nie chciał; dla większej przeto pewności, gdy trzymanie się czystego kierunku zachodniego było łatwiejszem, skierował się, po wyjściu z Gibralturu wprost ku

archipelagowi kanaryjskiemu. Przypadek zatrzymał go na tym przystanku nadspodziewanie długo. „Pinta“ zepsuł się ster. Zawinawszy do Lanceroty d. 7 Sierpnia, stała flotylla na kotwicy przez cztery tygodnie i dopiero d. 7 Września, w Poniedziałek, wyruszyła we właściwą swą drogę. Z wyjątkiem jednego dnia pochmurnego przez pierwszy tydzień miała pogodę piękną. Dnia 14 Września ujrano pierwsze ptaki morskie podzwrotnikowe. Statki pomykały szybko, jakby pod tchnieniem jakiegoś ducha czuwającego nad powodzeniem wyprawy. Uwierzyć nieomal trudno, że wątle, mizerne łupiny robiły po 10 milimet. t. j. przeszło 12 kilometrów, na godzinę. Ranki mieli ci żeglarze, prujący dziewczą jeszcze falę oceanu, przecudne. Ciepłe powietrze, zaczynające się zazwyczaj dopiero na 15 południku od Ferro — w kilka dni już po wyruszeniu z kanaryjskiej Gomery owionęło wyprawę. D. 17 Września, przy stałej pogodzie, znajdował się już Kolumb o 370 *leguas* t. j. o 21 stopni od Ferro, trzymając się ciągle równoleżnika kanaryjskiego. D. 18 Września napotkano zielsko z Florydy, *sargassum*, ciągnące się nieskończoną siecią, a w niem żywego kraba i oba te jestestwa wzięto za płody lądowe. Ptaków było coraz więcej, coraz rozmaitszych. Nazajutrz przerzuciły powietrze dwa albatrosy, które lubią trzymać się brzegów i zazwyczaj nie odlatują dalej, niż na mil 20. Na trzeci dzień popołudniu nowy albatros, tym razem lecący na południo-wschód — oczywiście, na ląd, bo na lądzie sypia. Nadzieja wstępowała w serca, które musiała podtrzymywać choćby drobnymi szczyptami przez los wydzielana pomyślność — aby im nie dać upaść pod ciężarem wielkiego istotnie hazardu.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

NOTATKI PEDAGOGICZNE.

— Wakacje sprowadzają uczące się dzieci do domu. Matka przygarnia je sobie do serca, ojciec kładzie ze wzruszeniem rękę na głowie syna, czującego w uroczystej tej chwili, że stoi przed tym, który posiada nad nim wysoką władzę sądu. Jeżeli postępy w naukach okazały się dobre, radość to jest i uciecha dla rodziny, dla domu całego, jeżeli przeciwnie, należy to do obowiązku rodziców, aby zbadali przyczynę złego: brak zdolności, lub opieszałość leniwa, zastosowując do tego postępowanie swoje w czasie wakacji. Trzeba wykazać uczącej się młodzi wysokie dla życia ludzkiego znaczenie wiedzy, wykształcenia umysłu; trzeba w umyśle tym rozbudzić wiedzy owej pragnienie, jako uszlachetniającej, podnoszącej człowieka siły, która równa drogi jego życia — trzeba przecież i przedewszystkiem naciskać na to położyć, że nauka przedstawia dla uczącego się obowiązek do spełnienia, więc to, w czym zaniedbywać się nie można pod karą winy, pod karą grzechu...

Rodzice powinni też okazywać w danym razie smutek z tego grzechu, z tej winy dziecka swego: uroczysty smutek i żalobę, obok której nie może, nie powinno być wesołego używania wakacji. W pewnej rodzinie, której brakowało ojca i matka sama wychowywała trzech synów, jeden z pomiedzy nich, najmłodszy, pomimo zdolności żywego, bystrego umysłu, mimo odpowiednich pomocy w nauczaniu, złym był uczniem, nie dostawał promocyi, więc też nie dozwolano mu w czasie wyjazdu na wieś używać tak wesoło wakacji, jak dwóm starszym jego braciom, a obok tego matka okazywała smutek, żalobę, z tak uroczystym nastrojem jakgdyby rodzinę spotkało nieszczęście, strata jakaś i skutek tego postępowania okazał się w praktyce dobrym. Chłopię żywe i poprzecznie pieszczone, ale zdolne i pojętne, czujące gorąco, wzięło rzecz do serca, do umysłu, i wyrósł nie tylko człowiek wykształcony, ale człowiek uczciwy, umiejący czuć silnie, co jest obowiązek. Wakacje — to nie tylko dla fizycznego, ale i dla duchowego

życia dziecka bardzo ważna chwila wychowawcza. Reguła szkoły przestaje je wiązać, przecież nie powinno pozostawać bez odpowiedniego, uzupełniającego tamten kierunku.

Wakacje dziewcząt przedstawiają względem jednego jeszcze. Ucząca się dziewczynka była zajęta przez cały rok szkolny głównie książką, nauką, a jakkolwiek w szkole każdej uczy się ona i tych robót ręcznych, które potrzebne jej są w życia praktyce, rzecz musi tu być z konieczności ograniczoną, dodatkową jedynie. Otóż należy, aby w czasie wakacji zajmowała się niemi, przecież szczególniej trzeba ją wciągnąć w ruch domu gospodarskiego. Gospodarstwo jest niemal dla ogółu kobiet zawodową ich pracą, stanowiącą o dobrobycie, o szczęściu rodzin, należy zatem wdrażać je do niej od młodości i więcej nad to: wykazywać jej wielkie, ogromne znaczenie. Kobiety stojące na czele gospodarstwa rodzin, to podskarbinie chleba w społeczeństwie swoim, trzeba zatem, aby były przyuczane do tego od lat młodych, przysposobione jak do obowiązku, który czeka każdą niemal. Przy francuskim *Przeglądzie Pedagogicznym* wyszła świeżo oddzielna broszurka, mieszcząca rzecz o nauce kobiecych robót ręcznych i ekonomii domowej, powiadająca o wszystkich podręcznikach i książkach traktujących ten przedmiot; jest tego mnóstwo.

— Konferencye pedagogiczne nauczycieli niemieckich, zgromadzając znaczną ich liczbę, więc pozwalając na rozbiór kwestyi najrozmaitszych, dały miejsce uwagom nad ręcznymi robotami dziewcząt w szkole, to jest w godzinach przeznaczonych na ich nauczanie. Nauka ta jest potrzebną i powinna być obowiązującą we wszystkich bez wyjątku szkołach żeńskich, bo kobieta klas wszelkich powinna nie tylko roboty te znać i umieć, ale będzie to wielką dla życia jej korzyścią, skoro w nich zasmakuje: najpierw dla tego, że znaczą one wiele w ekonomii domowej rodziny, i kobieta znająca się tu na rzeczy może gospodarować o wiele oszczędniej, więc zamożność rodziny podnosić; powtóre, kobieta zamiłowana w robotach ręcznych przywiązuje się więcej do domu, w którym już jej nie dręczą nudy, więc broni ją to od życia zbyt światowego, zbyt nazewnatrz, a po wszystkich czasach będzie to, jak było dotąd, zaletą kobiety w rodzinie, skoro można powiedzieć o niej: „Domu strzegła“.

— Wyszła świeżo w Paryżu książka godna uwagi rodziców i nauczycieli: „Dzieci źle wychowane“; autorem jej jest przecież, nie pedagog z powołania, ale prawnik, adwokat przy trybunale paryskim, Ferdynand Nicolay. Czerpał on z żywego życia — ze spostrzeżeń osobistych i doszedł do przekonania, że mimo danych charakteru, jakie człowiek każdy przynosi ze sobą, wychowanie rozstrzyga niemal zawsze o szczęściu i wyrobieniu jego moralnem. Wychowanie zaczyna się w kolebce i oddziaływać zaczyna dobrze lub źle. Dziecko tryletnie już wykazuje skutki wpływów wychowawczych, bo w tym wieku, jak to widzimy, może być łagodne i posłuszne, lub krnąbrne i samowolne, wymagające. Czas potęguje jedynie te wady, których kiełki już weszły i rozwijają się obecnie: dziecko dziesięcioletnie ujawnia je teraz wyraźniej, bo jest mocniejszym, jest śmielszym, zaznacza się dobitniej, gdyż wzrosło wraz z niem i rodzice spostrzegają z przestachem, że dziecko ich nie jest takim, jakim pragnęliby je widzieć. Cóż przecież następuje zwykle? Dziecko oddaje się w ręce nauczycieli, a rodzice trzymający się na stronie, nieraz w duszy, a nawet często jawnie, uważają karność edukacyjną za zbyt surową, co dziecko odgaduje szybko i staje się dla nauczyciela opornem, nieprzychylnem, a tego już dość, aby przepadł skutek jego wszelkich usiłowań.

Gdy młodzieniec tak wychowany staje u progu życia, rodzice zaczynają dostrzegać wady, których obecnie już nie mają mocy wykorzystać, i życie, społeczeństwo ludzkie musi ich zastąpić, lecz nie będzie ono miało tak pobłażliwego jak oni sądu, i czy dziecko ich zyska lub straci na tej miłości ich ślepej — na tej miłości, która staje się bardzo często w wychowaniu, nie siłą, ale niemocą? Znaczą tu niezmiernie wiele początki. Dają one dobre nacięcia i małe, prostymi środkami osiąga się to, czego potem nie wymoże siła żadna. Pieszczono-

ty psujące dowodzą jedynie samolubstwa rodziców, którzy, nie dbając o przyszłość dzieci, zadawalniają siebie przedewszystkiem. Podstawą dobrego wychowania jest, musi być przedewszystkiem, posłuszeństwo dziecka doskonałe, rodzice zaś powinni się pilnować bardzo, aby błąd, raz odpokutowany, został wymazany z księgi ich rachunku z dzieckiem. Mogą czuć, ale nie okazywać tego—nigdy, nigdy nie przypominać go i nie wyrzucać. Rodzice, nauczyciele, którzy umieją energicznie, ale szybko przeprowadzać takie sprawy, najsilniej przywiązują do siebie młode serca. „Après la pluie le beau temps“, to reguła wychowawcza, bo inaczej dziecko się zmęczy, znudzi, zubożenie wreszcie tak na naganę, jak i pochwałę. Nicolay nie usuwa i kary, ale ogranicza ją do dzieci najmłodszych i pisze: „Jeżeli różga jest nieraz potrzebną w drugim, trzecim roku życia, w dziesiątym staje środkiem złym a później jeszcze—już skandalicznym“.

Książka zawiera cały jeden rozdział poświęcony przedmiotowi bardzo rzadko dotykanemu w traktatach o wychowaniu: „La gaité dans l'éducation.“ Dziecko powinno być wesołe, aby było zdrowe, aby rozwijało się w naturalnych warunkach istnienia swego.—„Wesołość jest moralnym zdrowiem duszy dziecięcej i utrzymuje je ona w słodkim stanie spokoju i pogody dobroczynnej. Im więcej serce rozszerza się przez wesołość, tem więcej czyni się tam miejsca na dobroć i kłiwłość“—pisze autor na zakończenie a matka każda przyjmie z radością, z uczuciem szczęścia w sercu zasadę tę, na której poparcie autor dodaje jeszcze: „To, co częstokroć uważa się w wychowaniu za niemożliwość, jest prawie zawsze niemocą sprośowania już kierunku raz skrzywionego—naprawienia tego, co zepsuło się już całkowicie, całkowicie dla dobra przepadło. Usiłujemy oddziaływać tu wtedy dopiero, gdy złe się stało; pamiętajmy przecież, że czynić zadość wszystkim dziecią żądaniom, ustępować mu, aby nas nie nużyła walka z niem, to mówiąc szczerze i jasno: psuć je... Nie jest rzeczą zakazaną, aby rodzice tworzyli dla przyszłości dzieci swoich obrazy wdzięcznych idealów, aby pragnęli mieć ciche córki a głośnych synów, ale przedewszystkiem dajmy im na pomoc w tem przekonaniu silne i wychowanie, które życie uczy—nie poświęcajmy wyłącznie ich młodości nauce oderwanej od życia. Niech matka tu przewodniczy, ojciec niech tu czuwa, a oboje niech będą dzieciom przykładem, jak żyć należy.“

— Antonina de Gérando, dyrektorka wyższej szkoły dziewcząt w Koloswarze na Węgrzech, podniosła w dziennikach francuzkich kwestyą nagród i odznaczeń udzielanych na egzaminach uczące się młodzieży. W Węgrzech zwyczaj ten nie istnieje; niema tam w szkołach nie nad stopnie, wykazujące postęp uczniów i uczennic w naukach, a mimo to ucząca się młodzież nie jest leniwa, choć, jak wszędzie, znajdują się tu zdolniejsze i mniej zdolne osobistości. Dziewczęta uczą się chętnie i jakkolwiek nie podbudza ich pragnienie otrzymania nagrody lub pochwały, znajdują się pomiędzy niemi takie, których zapal do nauki potrzeba powstrzymać, gdyż pragnęłyby noce całe spędzać nad książką. Stopień „doskonały“ jest tu najwyższem odznaczeniem, ale nie wytwarza to, jako nagroda, wyszczególnienia kilku jedynie osobistości. Może go otrzymać cała klasa, nawet i wspomnianna wyżej pani pisze w korespondencji swojej: — „Jeżeli pragniemy, aby dla pokoleń, które nastąpią po nas nie było walki o miejsce wśród życia, ale aby zastąpiła ją harmonia życia, nie trzeba rozbudzać w młodzieży współubiegania się wzajemnego—nie ścigać im w serech zazdrośnej między sobą rywalizacji.“ W Węgrzech uroczystość rozdawania nagród zastępuje uroczystość inna, choć podobna, gromadząca obok ciała nauczycielskiego i rodziców uczące się młodzieży. Nauczyciele i nauczycielki występują z mowami, w których mieści się sprawozdanie z rocznej pracy szkolnej i ogólnych jej postępów w klasie każdej. Przemawia się następnie do uczennic i rodziców zarazem, wykazując: czem nauka powinna być dla przyszłości życia młodzieży, jak jej dobrodziejstwo, roznosząc światło wśród społeczeństwa, powinno uszlachetniać je i podnosić ku coraz górnieszym ideałom uszlachetnionego przez wyższą wiedzę życia.

Bywają i inne jeszcze w ciągu roku odbywające się uroczystości szkolne. Uczennice tworzą między sobą związki z celem jakimś umoralnienia się wzajemnego, wzajemnego nauczania i sprawozdania z postępów tu uczynionych stanowią pewnego rodzaju popisy, ale zamknięte, ograniczone do grona koleżeńkiego i przewodniczących mu nauczycielek, nauczycieli. Jest tu pomiędzy innemi „klub poezyi“, „klub sztuk pięknych“, umysły młode otrzymują szlachetny kierunek dla myśli, co potem idzie w życie za tą piękną młodzieżą, która przez lat kilka miała w programie życia swego, jakoby to hasło poety: „Młodości! ty nad poziomy wylatuj!“

PIERZCHLIWY PTAK

POWIEŚĆ

przez

Kazimierza Glińskiego.

(Dalszy ciąg).

Chłopak wrócił z zawiadomieniem, że dzięki Panu Bogu wszyscy już zdrowi, że jak pan doktor będzie taką wysoką brać cenę za poradę, to oni sobie o innego postarają się doktora.

Pan Antoni usiadł na ganku, posępnym oddając się marzeniom.

Z zadumy wyrwał go głos księdza proboszcza.

— Dzień dobry, konsyliarzu!

— Dzień dobry, księzdu dobrodziejowi! Jakże zdrowie?

— A jakże tam praktyka?...

Doktor poruszył ramionami, ksiądz w głowę się podrapał.

— Czegoś nie domagam—zaczął.

Pan Antoni zaśmiał się.

— A kto wie, czy ja, choć dwa razy młodszy jestem od księdza proboszcza—nie powinienem częściej od księdza do doktora się udawać?

— Gadaj zdrow! mnie co chwila coś zawadza.

— Naprzykład? — spytał z uśmiechem doktor.

— Język niby mam czysty, a czuję, jakby mi olów leżał.

— Mała niestrawność.

— Mała! a nie poradź się—to i mizerery można dostać.

— Niech ksiądz wody z cukrem i cytryną napije się.

— A pomoże?

— Napewno!

— To dobrze, dobrze! Napisz, serdeczko, receptę a ja zaraz według przepisu twojego postąpię. Sięgnął w zanadrze po pugilares.

Pan Antoni zaśmiał się głośno i w oba ramiona księdza ucałował.

Nagle koczobryk szambelana zadudnił przed gankiem.

— Co to?—zapytał proboszcz powożącego, zdziwiony nieco.

— Po doktora.

— Do kogo?

— Do pana szambelana.

— Co? co? co?...

— Jasny pan ciężko się czuje...

— Jedź, serdeczko, natychmiast jedź! a postaw go od razu na nogi—mówił, ciągnąc za rękaw Antoniego i gwałtem go do koczobryka pakując.

— A jakże ksiądz proboszcz czuje się?—zawołał, śmiejąc się doktor.

— Ja, zdrow jak zawsze, limonada pomogła. No, marsz! marsz!...

Wezwanie pana Antoniego przez szambelana było ważnym wypadkiem w jego życiu. Na dzień drugi udał się Kucejwa, na trzeci ekonom, na czwarty pomocnik ekonom.

Pirski wił się w boleściach, za ramiona, kolana, to za oba naraz boki się chwycił i krzyczał:

— Kręci! kręci!... *Ca!... ca!*

Panu Antoniemu udało się od razu uśmierzyć cierpienie.

Zachwycony szybkim skutkiem allopatycznych leków—pan szambelan dwa tysiące złotych naznaczył mu rocznej pensyi i wydał kwit na drwa do lasu.

Z uśmiechem ust pańskich uśmiechnęła się i fortuna. Niemal etat służbowy majątków szambelańskich zarzucił elektryczne płyny i zwrócił się do pana Antoniego, który honorarium do wysokości sześciu złotych i groszy dwudziestu podniósł.

— Nu—a my?—pytali zaniepokojeni żydzi.

— Po pół rubla, od osoby, a jeżeli nie chcecie, sprowadźcie sobie innego doktora.

Targ w targ, stanęło na złotych trzech.

Pirski z dniem każdym czuł się lepiej, strzykało mu jeszcze w łopatce to w łokciu, ale stanowczej doznawał ulgi.

Dnia tego, w którym pani Tirard i Florentyna, zbliżyły się do Brzezina, szambelan siedział w swym gabinecie, w miękkim, obitym safianem fotelu, a choć w rękę trzymał „Journal pour Rire“ widocznem było, że nie bawiły go koncepta humoru francuzkiego, że niespokojną myśl w głowie nosił. Przed chwilą właśnie powrócił jeden z kozaków, z zawiadomieniem, że pani wraca z Ogarówki.

— Czy sama?—zapytał szybko szambelan.

— A i pani Flandryna z nią razem.

— Głupiś, *ca!*—mruknął Pirski.

Kozak wyszedł—szambelan za kolano się chwycił i syknął.

Zbyt szybki powrót Ernestyny niepokojące nasunął mu myśli. Obawiał się jednej rzeczy: podejrzenia Zosi i przedwczesnego odkrycia przez nią zamiarów.

To przypuszczenie wzburzyło szambelana.

Daremnie brał do rąk ulubiony „Journal pour Rire“ to w „Figarze“ śledził bieg spraw politycznych: dowcipy zdawały mu się niesmaczne, parlamentarne mowy nazbyt zawile.

Zmierzeł—z blaszanych rynien dachu spadała z monotonnym szumem woda, zegar z czasów Ludwika XV-go poważnie wybijał sekundy dnia.

Kamerdyner zapalił wiszącą lampę i dwie świece postawił przed szambelanem.

— Słuchaj, ty—czy nikogo na drodze nie widać?—spytał szambelan.

— Zdaje się, że nie widać—a zresztą, jasny panie, już ciemno na dworze, to choćby tam coś i było, dojrzeć nie można.

— *Ca!...* Po Kucejwę posłałeś?

— A jakże, jasny panie, według rozkazu.

— Co tam na dworze, he?...

— Odelga, że niech Bóg broni.

— Jak uważasz, wasan—droga musi być okropnie ciężka?

— Zakazana, jasny panie! Śniegu było huk, to nasyp był na łokci kilka—teraz, gdy nagle puściło, to nie wiadomo jak jechać i które dy. Bokami sannie się rzną i tyle garną śniegu przed siebie że i dwanaście wołów karety nie pociągnie; drogą jechać, to ja nie wiem jak, bo, prawdę rzekłszy, drogi niema a tylko rowy same.

— *Goddam!*—mruknął Pirski. — Oni gotowi na przyszlą Wielkanoc dopiero przyjechać.

— To znaczy, jasny panie, za dwa tygodnie.

— *Fort!*

Kamerdyner skłonił się i wyszedł, po chwili wszedł Kucejwa.

— Zbliż się wasan!

— Jakże zdrowie jasnie wielmożnego pana?

— Jeszcze kręci, ale już nie tak często, jak dawniej. Gdyby ten Antoni zajął się homeopatyą, to byłby doskonałym doktorem.

Przełknął parę cukierków i wskazał ręką krzesło Kucejwie.

— Słuchaj wasan, potrzeba, ażebyś pojechał do Ogarówki.

Pan Roch pokręcił głową.

— Hie?—spytał szambelan.

— Czy saniami, czy kołami, czy łódką? — nie wiadomo jak jechać.

— Choćby piechotę: interes jest ważny.
— Ja to rozumiem, jasny panie, i *jezdem* na usługi.

— Wasan wiesz, że pan Zygmunt Skalski zrobił mnie pełnomocnikiem do wszystkich swoich interesów; Bajbosiewiczowi już o tem oznajmiłeś plenipotencją pokazaną. Oczywiście, że sam zając się niemi nie mogę i wasan musisz mnie w tem wyręczyć. Ruszaj wacpan do Ogarówki i wszystkie pieniądze, jakie można otrzymać, zabierz—pan Skalski obecnie potrzebuje ich dosyć!

— O, że potrzebuje, to potrzebuje, jasny panie!
— *Ca!* jeżeliby zaś—uważaj wasan—kassa była próżna, co może być, bo pan Zygmunt przed wyjazdem uczciwie ją wyczyścił, to z mojej wzięć pieniądze i przesłać natychmiast pod wiadomym asanu adresem.

— Rozumiem, jasnie panie!
— Kłaniam się!—rzucił Pirski, kiwnąwszy krótko głową.

Kucejwa nie zdołał jeszcze dojść do progu, gdy ktoś trzykrotnie uderzył o drzwi gabinetu szambelana.

— *Entrez!*
Wszedł doktor.

— *A! monsieur Antoine! Ca!...*
Przybyły, widząc Kucejwę, zatrzymał się u progu.

— Może przeszkadzam?
— Przeciwnie!... Rad jestem wizycie twojej, panie Antoni, *oui! Je suis très heureux de vous voir aujourd'hui.*

— Czulem się w obowiązku nawiedzenia pana szambelana ale, jeżeli pan szambelan...

— Bez ale, *ca!... Malgré, bongré...* wolę ciebie, panie Antoni, niż kogo innego, tembardziej dziś, kiedy jestem jakiś nie swój...

— Kłaniam się!—odezwał się nagle do stojącego Kucejwy.

Pan Roch wyszedł; szambelan wskazał miejsce doktorowi.

— *Prennez place! Siadaj, Ca!*
Antoni usiadł na krześle, Pirski podał mu cygaro.

— Jak się pan szambelan czuje?

— Kręci—odpowiedział Pirski.

— Cierpliwości, panie szambelanie, a mam nadzieję, że wkrótce zwyciężymy chorobę.

— Przedz się tylko z nią pan uporaj, bo ja potrzebuję być zdrow, zanim madame Tirard przyjedzie.

Po chwili, jakby od niechcenia, zapytał:

— Czy pan słyszał o Skalskim?

— Słyszałem, brzydka historia...

Szambelan szybkim skurczeniem nosa stracił binokle.

— *Ca!...* a wcale ładną ma żonę.

— Czy rzeczywiście pani Natalia jest tak piękną, jak głoszą?—zapytał doktor.

— No, tak, tak—tylko, uważasz, jabym się w niej nie rozkochał. Dla nowicyusza, jakim jest Skalski, to przedni kasek, *mais pour moi, par exemple,* jest to niedogryziony marcepan. Ale, między nami mówiąc, ja tam tak bardzo Zyzia nie potępiam.

Każda jednostka powinna dążyć do uszczęśliwienia siebie, a ponieważ z jednostek składa się ogół, w ten sposób dochodzimy do uszczęśliwienia całej ludzkości.

Doktor zaśmiał się.

— Zaprzecz wacpan—rzucił Pirski.—Przecie to jest ostatni wynik socyologów.

— Złe tylko przedka historia szambelana zrozumiany.

— *Par exemple?*

— Powinniśmy dążyć do uszczęśliwienia siebie, bez robienia przykrości innym.

— Niech ten inny przykrości wyrządzonej tak bardzo do serca nie bierze i pięknem za nadobne odpłaca.

— Ładnieś-by pan, panie szambelanie, społeczeństwo urządził! Zamiast chrześcijańskiej idei miłości, powstałaby nowa zasada: wzajemnego darcia się.

— Idea chrześcijańskiej miłości!—zawołał Pirski.—Dobre to na papierze.

— Leć piękniejsze w życiu—dodał doktor.

— Słowo—panie Antoni.—Jesteśmy samolubami do szpiku kości, *jusqu'au bout des ongles.* Ja ci

nie chciałem dać drow z lasu, dopóki mi w kościach nie zakręciło, ty, nie mając przeze mnie zapewnionej rocznej płacy, nie zaszedłbyś do mnie z tkliwym o moim zdrowiu pytaniem.

— Jest to tylko wzajemna wymiana usług, nie nadto.

— A zatem, nie darmo!

— Jak kiedy...

— Są więc wyjątki i w chrześcijańskiej miłości. Oj, oj—zajęczał szambelan, okrywając nogi puszystym pledem.

Na dziedzińcu dał się słyszeć ciężki szmer sunących sani i dwukrotny trzask z bata.

— Ernestyna, *ca!*—zawołał szambelan.

Cheiał się zerwać, ale ból w nogach mu nie pozwolił.

— Pożegnaj pana szambelana—odezwał się doktor.

— Kłaniam się!...

Antoni wyszedł, Pirski zniecierpliwnością oczekiwał przybyłych.

Po chwili nieśmiała, zlekniiona wsunęła się do pokoju pani Tirard z Florentyną. Zobaczywszy Dyzią otulonego pledem, zapomniała o niepokoju, który ją trapił, podbiegła szybko i wyciągając ramiona, zawołała:

— *Denis—es-tu malade?*

Szambelan ucałował ją szczerze.

— *Ca!* głupi reumatyzm, nie więcej!—rzucił.

— Gdzie? gdzie?—zaczęła rozpytywać Ernestyna.

— Spytaj lepiej gdzie go niema? wszędzie jest! i tu kręci, i tu kręci, i tu kręci... *Cęca!*

— Ależ ty strasznie cierpieć musisz? ..

Łzy zakręciły się w jej oczach.

— Teraz to już nie—*chère Ernestine*—pocieszył Antoni odrazu postawił mnie na nogi.

— Jaki Antoni?

— A ten, doktor z Brzezina...

— Nie maczki?

— Widzisz co to musiało być, kiedym się aż z allopatyą pogodził.

Ernestyna siedziała pochylona naprzeciw chorego i z trwogą patrzyła mu w oczy.

— Uważasz, *chérie*, mnie już przed twoim wyjazdem kręcić zaczęło, lecz, nie chcąc cię niepokoić, nie wspominałem nic a nie o tem.

— Jak można?...

— Widzisz, że można—przerwał Pirski.—Owóż wziąłem się zaraz do maczków i elektrycznych płynów. Zażywam, *parbleu!* kręci! Dzień, drugi uływa—Jezus Maryja! a tu latanina taka od głowy do pięt, że w niebogłosy wrzeszczeć musiałem. Przychodzi Kucejwa: ratuj, wasan!—wołam. Wiesz ci mi poradził? Ażebym, przy sobie kasztany nosił. Obładowałem się niemi i wyglądałem jak panna w krynolinie. Noszę dzień, drugi—zauważyłem, że lokaje zezem na mnie patrzą i śmieją szelmy po eichu—a ulgi żadnej. Wysypałem więc wszystkie na głowę Kucejwie i do wskazanego udałem się owczarza. Okadził mnie, ziół nawarzył—wziął dzieśięć rubli, a pomógł tyle, co umarłemu kadzidło. A tu jak kręci w jednej i drugiej łopatece zaczyna... Probuje Antoniego—i co powiesz! pomógł mi, jak jaki pierwszorzędnny homeopata!

— Aaa!—odetchnęła z głębi piersi pani Ernestyna.—Więc już jesteś zdrow, zdrow zupełnie, mój Dyziu.

— Prawie, prawie—*chère Ernestine!* Ale ty, biedaczko, musiałaś się podczas swej podróży namęczyć!

— Eh! o mnie mniejsza!

— Czegóżes tak prędko z Ogarówki uciekła?

— Przeraziłam się drogi i...

Płomienie wybiegały jej na twarz—nie wiedziała sama co powiedzieć miała.

— I co?—spytał szambelan.—Przeraziłaś się szlochów, lamentów, skarg? Przecie się tego wszystkiego spodziewałem. To wcale nie odbiera mi humoru. Zapewne—ciągnął powoli—wolałbym, żeby uspokoiła się na koniec—ale i to z czasem nadejdzie. No! jakże zastałaś Zosię?

— Właśnie, że zupełnie spokojną...

— Co? co?—zawołał Pirski.

— Zupełnie spokojna—potwierdziła Florentyna.

— *Parbleu!*—czemuż mi nie o tem nie mówicie? Cóż o Zygmuncie mówić? co!...

— Unikała wszelkiej rozmowy o nim—dodała śmielej Ernestyna.

— Czemuż mi nie o tem nie mówicie?!—zawołał Pirski, zrywając się z siedzenia.

Małe oczy szambelana zabłysły jak dwa świętojańskie robaczki, a uśmiech drżał na ustach.

Radość pana Dyonizego udzieliła się i Ernestynie. Widocznie Dyzio nie spodziewał się tej wiadomości.

(Dalszy ciąg nastąpi).

NOWINY PARYŻKIE.

(Dokończenie).

Dnia 1 Lipca 1892 r.

Emigracye letnie Paryżanów. — Resursa *extra muros*. — Pańszczyzna gościnności modnej. — Wystawa Stowarzyszenia Narodowego Sztuk Pięknych na Polu Marsowem. — Pierwszy rzut oka na ten przypływ morza malarstwa. — Geneza tej wystawy. — Wrażenia. — Niektórzy z artystów: Donat, Stevens, Sargent, Hillen. — Malarze dekoracyi. — Symboliści. — Portreciści: Carolus Duran i spółka. — *Plenerzyści*. — Konkluzya. — Pani Magdalena Lemaire. — Zaślubiny panny Bielińskiej. — Drumont. — Nowa faza antisemityzmu. — Surowy wyrok sądu. — Krwawe zająścia. — Śmiertelny pojedynek. — Wybory w Akademii Francuzkiej. — P. Lavissee. — Nowa doktorka prawa, panna Chauvin. — Nowa książka: *Les possédés de la Morphine*.

Cheiałbym tu powiedzieć słów kilka o tych obrazach, które tu zowią „malarstwo dekoracyjne“. Na nieszczęście, oprócz *Zimy*, pana Puvisa de Chavannes'a, niema o czem mówić. Jest to rodzaj malarstwa prawie całkiem zarzucony. Tapiserzy zaniechali go zupełnie — wolą sprzedawać aksamity i plusze. Dla stworzenia obrazu dekoracyjnego potrzeba znowy i ugody dwóch ludzi równie zamilowanych w blasku i wspanialej wystawie: — malarza, któryby mógł pojąć i stworzyć taki obraz, i bankiera, któryby mógł i chciał go opłacić. Otóż malarz woli robić portrety bogatych Amerykanek z Chicago — bankier woli hodować bażanty, wyprawiać hibki myśliwskie. Epoka, w której architektura ogranicza się do budowy domów zajezdnych dwunastopiętrowych i dworców kolejowych, nie może posiadać malarstwa dekoracyjnego. Na to potrzeba rozległych murów: a tu są tylko drzwi, okna i wschody. Widzę przecie w katalogu tu i owdzie tę wzmiankę: „dekoracya dla... projekt dekoracyi do... przeróbka dekoracyi do...“ Ale to jest tylko sposób wyrażania się złudny, używany w pracowniach, i którego my nie rozumiemy i nie wiemy, co on znaczy.

Dla tego-to właśnie lękam się sufitów; mam wstręt nieprzezwyciężony do tych nagich kobiet, które się przewalają na chmurach, nad moją głową. Niewiadomo nigdy, co się tam dzieje na tych malowanych sufitach. Próbowaliśmy nieraz zrozumieć znaczenie allegoryi, które w nich artyści niby wyrażają, i dałem za wygraną, nie mogąc dojść do końca. W tym roku na Polu Marsowem jest tylko jeden sufit pędzla p. Wiertz'a, wielki, allegoryczny. — Idźmy dalej.

Powiadają, że przez naturalny zwrot reakcyi przeciw materyalizmowi i naturalizmowi — na Boga! przebaczenie te gallicyzmy! — chorujemy teraz, przebywając kryzys mistycyzmu. Ja myślę, że tu jest omyłka druku. Ludzie tutejsi nie są bardziej mistyczni dzisiaj, niż byli wczoraj. To, co dziś biorą za powszechną ewolucyę, w ich sposobie pojmowania uczucia, nie jest niczem innym, jeno przelotną modą; modą hałaśliwą. Wskutek tej mody, przeznaczonych na połów pięciofrankówek, kilku tak zwanych „symbolistów“ wymyśliło wprowadzenie postaci Chrystusa Pana, urobionej na modłę ich pojęcia, do literatury i malarstwa. W tej liczbie próbieczej znalazł się malarz prawdziwego talentu i bystrego umysłu człowiek, p. Jan Béraud. Jego poprzednie studia

i obrazy nie zdawały się przygotowywać do ilustracji Pisma Świętego — ale na Polu Marsowem nie trudno się spotkać z niespodzianką z przeskokiem od bieguna do bieguna.

W roku przeszłym, jeśli pamiętacie, tensam p. Béraud wystawił obraz, na którym widzieliśmy Chrystusa Pana, odpuszczającego winy jawno-grzesznicy — w kawiarni Tortoniego. Obraz ten miał wielkie powodzenie w pewnym świątku, który żyje i obraca się około tej sławnej kawiarni paryskiej. Powiadają, że jakiś bogacz zapłacił zań trzydzieści tysięcy franków. Nic więc dziwnego, że p. Béraud wystąpił i dziś — *bis in idem*. Obraz tegoroczny — jest to *zdjęcie z krzyża*, naturalistyczne.

Widzimy tu mężczyzn i kobiety z ludu paryskiego, w dzisiejszych strojach, zajętych zdjęciem z krzyża Chrystusa Pana. Wskutek dziwnego pomysłu, w którym nie będę szukał napróżno symbolicznego znaczenia, składają go ostrożnie do stojącej na ziemi — wanny; tak się przynajmniej zdaje. Opodal od tej grupy, na brzegu panującego Paryżowi wzgórza, stoi *ouvrier* z wyciągniętą groźnie pięścią ku miastu, obwieszając strasznym głosem cierpienia bolesną nowinę. Ten *ouvrier* — to cała geneza obrazu.

Nie kładźmy zbyt silnego nacisku na to dziwaczne malowidło. Niema co dyskutować z człowiekiem, który jest co się zowie *malin*, który wie dobrze co się święci, i co się należy snobizmowi amatorów i głupocie tłumu. Jest jeszcze inny Chrystus, p. Blanche'a — ale „o Ryczywole zamilczę wolę“.

Wslawiony i wzbogacony portrecista p. Carolus Duran zdziwiłby się niezmiernie, gdyby mu kto powiedział, że nie wie co to jest twarz ludzka. Toż p. Duran jako portrecista jest malarzem obowiązany codziennie przedstawiać za pomocą pędzla — a wzamian za sporą kupę pieniędzy, — wszystko to, cokolwiek jest nieujętego, dalekiego, tajemniczego w tym cudownym krajobrazie, jakim jest spójnienie kobiety, albo w całym nawale burzy, marzenia, energii, też nicości wreszcie pod tą potężną powłoką, jaką daje czoło myślącego mężczyzny. Ale oprócz tego jest jeszcze p. Duran malarzem, który ma swoją manierę — i pomimo całą swą biegłość ani się domyśla co to jest twarde obowiązki tego, kto udaje mistrza szkoły, gdzie prawda i wierność naturze są pierwszym przykazaniem adeptów. Mówiąc to, mogę być posądzonym o jakiś dziwoląg, ale jeżeli portrety pani A. B., albo panów C. D., Van Dycka, Rubensa lub Halsy, są ostatnim słowem sztuki malarzkiej, jakże potem można powiedzieć, że portret pani X. przez Carolusa Duran'a jest również dziełem mistrza? Widocznie, tamto zagłusza to, i patrzący obowiązany jest wybierać między temi dwiema tak sprzecznymi rzeczami. Ale czyż naprawdę wybiera? czyż nawet jeden na stu wie o tem, co to byli tacy Van Dyck albo Hals?

W gruncie rzeczy p. Duran nie maluje portretów, ale tworzy jakieś fantazje o świetnych różnobarwnych draperyach. I to schlebia miłości własnej modelu, któremu też nie chodzi wcale o prawdę i podobieństwo, ale o szysk i złudzenie. Nie, temu próżnemu modelowi, ubogiemu pod względem sztuki, ale kapiącemu złotem, potrzeba nowych, błyszczących atlasów, krzyczących aksamitów, jedwabów sztywnych, które się łamią na fałdach szerokich.

Malarz jest tak zamilowany w błyskotkach, że jego pracownia — to ogromny skład fabrykanta jedwabiu — a jego portrety to zbiór karnacy i cery, jakich świat nie widział. Modele pozujący mu do portretów, czy to jest stary jakiś professor, jak p. Chalamel-Lacour, albo jak p. Henner, malarz kollega, z alzaczką fajką, Duran wszystko to ubiera w śliczne oblicza adonisów, w atlasem i aksamitem obite fotele, bo ludzka skóra nie zdaje mu się zapewne ani dość jasną, ani dość przezroczą. A już kobiety p. Duran'a są to hurysy Raju mahometa, tak świeże, piękne, jasne — jak najwspanialsze jedwabne materye.

Tak się stworzyła cała ta nowożytna szkoła Plenerzystów — tacy, jak np. Bisnard, Dagnan, Bouveret, Gervex, Boldini, i t. p. Tu i owdzie jednakże ukazują się nagle, jak widzenie, poważne i zacne dzieło. Spostrzegasz intencją dobrą, peł-

ną uczucia, wdzięku — i jesteś prawie szczęśliwym, że musisz się zatrzymać na chwilę. Człowiek staje się pobłażającym, kiedy pomyśli — ile-to potrzeba było pracy, oszczędności, wydatków, aby stworzyć cały ten nawał obrazów, a ileż-to nadziei, złudzeń, marzeń niespełnionych nigdy! Ale cóż na to pomoże moja chęć najlepsza, kiedy wobec tych wszystkich próbek miernoty niepodobna jest znaleźć choćby jednego pięknego portretu, jednego pięknego wytwornego dzieła. przynoszącego zadowolenie i sprawiającego przyjemność! Postacie zdają się jakby wykrojone z ostatniego dziennika mody.

Słowem: i ta wystawa — to wcale nie Pole Marsowe, ale *Campo Santo* malarstwo — nawet pejzaż, ten rodzaj, w którym, jak dotąd, biegłość techniczna Francuzów tak pięknie zapewniał im miejsce, pejzaż rozwiewa ostatnią nadzieję pogodzenia się kiedykolwiek z nową szkołą. — Pragnąłby człowiek chwalić — ale, jak to uczynić? Przemawiają do nas językiem, który staje się coraz mniej zrozumiałym. Pejzaż, w którym nie widać ani śladu namietności artystycznej, — natura tak sucha, zimna, że nie budzi żadnego uczucia — zupełny brak stylu i tradycji — to już lepiej na koniec patrzeć na dzieła przyrody, podziwiać fotografie, gdzie jest matematycznej ścisłości odbicie. Natura! — ależ ona nie istnieje dotykalnie, tylko w ludzkim mózgu; ożywia się ona tylko według mniej lub więcej ścisłej interpretacji, jaką jej ten mózg dać potrafi. — I dla tego to jest tak rozmaita w nieśmiertelnych dziełach, takich artystów, jak Ruysdael, Hobbema, Klaudyusz Lorrain i t. p.

Nie chcę tu wyliczać imion, kiedy dzieł nie znamy. Już o dawniejszych odzywano się z przekąsem. Tak Cabanel miał zwyczaj mawiać, kiedy chodziło o pejzaże Corot'a: „Coroty! A tak Coroty! Robi się to zapomocą oskrobanych resztek naszych palet.“ Dziś można przypomnieć to malownicze wyrażenie Cubanela, aby dobitnie określić znaczenie pejzaży na polu Marsowem. „Na polu Marsowem pejzaże się maluje zapomocą oskrobanych resztek palety impressionistów“.

A są oni dziś pięknie pomszczeni, ci wyśmiani Impresyoniści, i jeśli jeszcze są tacy, co wątpią o piękności ich dzieł, niechaj idą tam, na Pole Marsowe. Niech się przewalają jaką godzinę, w tych zasmucających nicościach salach: a wyjdą z tamtąd przekonani, że owi-to impresyoniści, z Menetem, Césanne'm, Renoir'em na czele, byli to prawdziwi malarze, w porównaniu z dzisiejszą kupą.

Na tem skończymy przegląd malarski, który i tak zbyt wiele zajął tu miejsca — tembardziej, iż możnaby dziesięć razy tyle napisać i nie wyczerpać bynajmniej wszystkiego, co by się powiedzieć dało, choćby tylko w sprawozdaniu przeznaczonem dla niecierpliwie oczekującego nowości czytelnika. Agdyby wolno było utworzyć wystawę, czyniąc wybór sumienny i ścisły, ileżby-to odpadło nędzoty, i jakby się inaczej ukazała nam całość tej wystawy; jakże inaczej przyszłoby osądzić sztukę i jej prawdziwych przedstawicieli we Francji! Tymczasem, jak cię widzą, tak cię piszą — nie wina więc kronikarza, iż brylanty i perły pozatapiano w brudnej kałuży.

Dodajmy nakoniec, że największą ozdobą całej tej wystawy na Polu Marsowem są obrazy pani Magdaleny Lemaire: *Le Char des Fées* (wóz czarodziejski), *La Châte des feuilles*, a nade wszystko jej „Śliwki“. I tu więc kobieta odniosła zwycięstwo, dzielną ręką trzymając sztandar, pod którym od tylu lat walczy.

Kiedy rzecz chodzi o kobiety artystki, nie zapomnijmy tu dodać, że w tych dniach odbył się też ślub — cywilny, niestety — panny Anny Bielińskiej, z p. Bogdanowiczem, uczniem szkoły medycznej. Każdy się pyta: Dlaczego tak oryginalny talent, jakim jest obdarzona nasza rodaczka, rzucił się w tak ważnej sprawie na drogę płochego naśladowstwa Francuzów?

Dużośmy już i często mówili na tych kartkach o p. Drumoncie i o jego anti-semitycznej wojnie.

Ten p. Edmund Drumont, słynny autor książki pod tytułem: *La France Juive* i tylu innych dzieł, które miały głośnie, zbyt głośnie powodzenie, aby prowadzić dalej sprawę, którą tak hałaśliwie rozpoczął za pomocą książki, postanowił wydawać dziennik, poświęcony specjalnie antisemityzmowi.

Ukazało się tedy pod jego redakcją czasopismo *La Libre Parole*. Naturalnie, aby zwabić czytelników do nowego dziennika, gdy jest ich już tyle — potrzeba było postarać się o skandal i walić okrutnie w tółmabas.

Na pierwszy występ wyciągnięto na stół sprawę odnowionego obecnie przywileju banku francuskiego. Jest to, jak kwiecie, zakład prywatny największych bankierów paryskich, zostający pod kontrolą i opieką rządu. Odnowienie przywileju dało powód do długich rozpraw w Izbie poselskiej. P. Drumont, biorąc tę sprawę na zab, wyprowadził pod pretekstem swego dziennika dom Rotschildów i p. Burdeau, vice-marszałka Izby i sprawozdawcę danego projektu prawa, oskarżając go o konszachty z p. Rotschildami. Burdeau wytoczył mu proces o oszczerstwo. Pozwany przed sąd przysięgłych, p. Drumont skazany został na grzywny, wynoszące przeszło 80,000 franków.

Narobiło to niezmiernego hałasu. Pomimo grubej przegranej, wyrok był pożądanym dla dziennika. Kiedy jedna ta sprawa już wrzała, dziennik postarał się o nowy skandal, biorąc się za bary z Żydami służącymi w wojsku: artykuły te dotkliwe i zjadliwe, miały podpis margrabiego de Morès, znanego tu z ambicji i dziwactw.

W następstwie wywiązała się polemika pomiędzy officerami i redakcją gazety, przyszło do sporów ostrych i wyzwania, i jeden z dzielnych officerów artylerji, kapitan Meyer, profesor szkoły politechnicznej, zostawszy wciągniętym w tę błahą polemikę, legł w pojedynku na szpady z margrabią de Morès.

Zajście to wywołało przykre i bolesne wrażenie; sprawę wytoczono przed sąd, a swoją drogą za pomocą interpellacji przed Izbę poselską. Margrabia, uwięziony na razie, został wypuszczonym na wolność i zobaczymy teraz, w jaki sposób sprawa będzie osądzoną: czy przed sądem policyi poprawczej, czy przed sądem przysięgłych, kara jednak nie może być zbyt surową. Pojedynek odbył się prawidłowo, i śmierć nastąpiła wskutek rzadkiej bardzo dyrekcyi szpady obu przeciwników, którzy musieli być równej biegłości mistrzami w sztuce. Jedno zostaje do życzenia, aby ta śmierć położyła kres kogucim walkom dziennikarskim.

Dnia 2 Czerwca Akademia Francuzka odbyła ponowne wybory, aby zastąpić wakans po śmierci admirała Jurien de la Gravière. Z powodu nieobecności kilku nieśmiertelnych, liczba wybierających była zredukowaną do 36. Większość zatem stanowiło 19 głosów.

Tym razem walka nie była długą, dwaj tylko prawdziwi kandydaci stali na placu: p. p. Zola i professor Lavissee. Pierwsze głosowanie dało rezultat następujący:

P. p. Ferdynand Brunetiere 10 głosów, Ernest Lavissee 13 gł., Emil Zola 10 gł., admirał Réveillère kartki białe 3 głosy.

W dziesięć minut po obliczeniu głosów drugie głosowanie dało zwycięstwo p. Lavissee'owi; trzydziestu sześciu akademików podzieliło swe głosy następnie: pp. Brunetiere 5 głosów, Ernest Lavissee 27 gł., Emil Zola 3 gł., kartki białe 1 głos.

Wskutek tego p. Kamil Doucet ogłosił wybór p. Lavissee'a. Jest to wynik, na który wszyscy się zdadzają: nikogo on nie mógł zadziwić. Akademik, na którego przypadnie zadanie powitania nowego akademika, będzie mógł wygłosić piękną i łatwą mowę.

Professor Sorbonny, gdzie zajmuję katedrę współczesnej historii, p. Lavissee pisał o reformie uniwersyteckiej dzieła, którym przyklasnął ogół uniwersyteckiej młodzieży; można śmiało powiedzieć, że ta uczęca się i pracująca młodzież wraz z nim wchodzi do Instytutu, okrzykując zwyciężę, ciesząc się jego tryumfem.

Prócz tego jest on autorem studyów nad współczesną historją Francji, a zatem w części i Europy, a żaden Francuz nie może jej czytać bez patriotycznego wzruszenia i bez narodowej dumy. Nadto od lat dwudziestu nikt, jak młody profesor, nie bronił sprawy utraconych przez wojnę prowincji, z takim zapalem zarazem, spokojem i powagą. Są to zasługi, które się tutaj najlepiej nadają do pochwały wymownej i zgodnej z prawdą.

Ale te wybory czyniły jeszcze zadość tym na-

dziejom, jakie powzięli przyjaciele autora „de la Débâcle“. Postęp zyskanych głosów w akademii przez p. Zolę był widoczny. Przeszłego roku miał on tylko trzy głosy, pięć na przedostatnim głosowaniu, na koniec 10 przy pierwszym dnia 2-go czerwca. Jest to dobra przepowiednia na przyszłość...

Ponieważ jesteśmy na polu nankowem, a więc nie schodząc zeń, powiedzmy słówko o nowogotującej się do rozprawy *Doktorce prawa*.

Panna Janina Chauvin, licencyjatka fakultetu literackiego (filozofia), upremiowana uczennica paryżskiego fakultetu prawa, d. 2 lipca, o godzinie 2-iej z południa, na posiedzeniu publicznym w Sorbonnie, pod prezydencją p. Beudaux, w asystencji trzech profesorów bronić będzie swej rozprawy na stopień doktora prawa: „O profesjach dla kobiet, i o postępie historycznym, ekonomicznego położenia kobiety w społeczności“.

Po raz-to pierwszy tutejszy fakultet prawa powołany zostanie do udzielenia kobiecie Francuzce stopnia doktora praw.

Po profesorach i uczniach, powiedzmy słówko o ciekawej książce, zpowodu ciekawego i przeobrażającego przedmiotu. Tak, oto jest dzieło naukowe, a przecież bardziej przerażające, wywołujące bardziej wzruszające wrażenia, niż wszystkie owe zmyślane opowiadania Edgarda Poe. Chodzi tu bowiem o fakta rzeczywiste i naukowo stwierdzone w książce p. Maurycego Talmeyra, ogłoszonej u Płona, pod tytułem: *Les Possédés de la Morphine*.

W tej książce, jak powiada sam autor, niema żadnej powieści albo zmyślenia, nie, co by się nie tyczyło samej tylko nauki. I to właśnie nadaje główne zajęcie tej książce. Niema tu nic wymyślnego, ani też ukłasyfikowanego przez uczonego z profesyj. Za pomocą przykładów autentycznych, następujących po sobie, p. Talmeyr określił rolę, którą odegrywa, na rozmaitych szczeblach naszej społeczności, to straszliwe narzędzie zniszczenia, które ludziom dała nauka, aby przytłumiać cierpienie i ból. Tymczasem ludzka głupota zamieniła w nową chorobę nowy ten środek leczniczy, i to, co wyszło z rozumu ludzkiego, służy dzisiaj do jego ogłupienia i prowadzi go do łoża szpitala obłąkanych. Żałuję, że nie mogę tu przytoczyć kilku przynajmniej kartek tej książki, gdzie są zapisane fakta rzeczywiste, które zdają się być najczęściej jakimś okropnym snem gorączkowym.

„Morfina—powiada autor,—posiada w ostateczności wszystkie skutki tajemnicze owych dawniejszych czarodziejskich napojów, które wprowadzano sobie do organizmu z najgłębszą wiarą w ich cudowne skutki. Zobaczymy tu z nich niektóre i opiszemy ich działanie i skutki, ale, co by należało wiedzieć i opowiedzieć, to właśnie to, o czym nikt nie wie, i czego się nie opowiada nigdy. Morfina rozbudza i usypia, kołysze do do snu i ciągnie na tortury, zabija i wskrzesza, tworzy jasnowidzących i lunatyków“.

Wszędzie, aż w najniższych warstwach ludności paryżskiej, autor szukał przykładów i opowiadań o tej niepojętej namiętności; zapytywał jednej z głównych dozorek szpitala morfinowych ofiar—ta mu odpowiedziała, że Paryż był pełen tych nieszczęśliwych.

Jest bardzo wielu chorych, którzy rozpoczynając te praktyki, od pierwszych dawek morfiny doświadcza okropnych nudności, z wymiotami i zawrotu głowy, prawie obłąkania. Są inni, którzy wpadają w niesłychanie czarodziejskie zachwyty; ale, jakkolwiek nieprzewidziane są efekta, kończy się to zawsze fatalnością powszechną i wszyscy z czasem wpadają w rozprężenie moralne, dochodzące do zupełnego, ostatecznego rozkładu.

Takich przykładów pełno jest w książce p. Talmeyra. Są nawet tak straszliwe, że tych, co się nie lekają zbytecznych wzruszeń, odsyłam do samego dzieła.

—λ—

Z bieżącej chwili.

— Donoszą z Petersburga, iż przez tak przez miesiąc bieżący jak i następny, Ermitaż zamkniętym będzie dla publiczności z powodu odbywającej się tam restauracji. Tylko cudzoziemcy, osoby przybywające z prowincji na czas krótki, będą mogły zwiedzać Ermitaż w poniedziałki i czwartki za specjalnem pozwoleniem.

— Komitet zarządzający w Moskwie kongres archeologów, antropologów i zoologów ogłasza, iż część ważniejszych prac przygotowawczych już jest ukończona. Wystawa zoologiczna zajmie kilka sal uniwersyteckich; dział archeologiczny będzie także potrzebował obszernego miejsca.

— Według decyzji ministerium oświecenia opłata w warszawskiej szkole realnej zostanie podwyższoną z początku roku szkolnego z rs. 40 na 50.

— Przy warszawskim towarzystwie ubezpieczeń od ognia świeżo założone towarzystwo ubezpieczeń na życie „Przezorność“, rozpoczęło działalność swoją z d. 15 b. m.

— Konkurs ogłoszony na płaskorzeźby mające zdobić frontową fasadę kościoła W.W. Świętych, został rozstrzygnięty. Zpomniemy siedmiu nadesłanych uznano za najlepsze trzy p. Edwarda Wachulskiego, któremu też powierzono ich wykonanie. Cztery pozostałe są dziełem p. Niewiarowskiego, który według brzmienia uchwały konkursowej otrzymuje za nie rs. 50. Modele posągów wykonali zaproszeni do tego artyści. Model figury Najświętszej Panny Niepokalanej. Poczęcia jest dziełem p. Olesińskiego, modele ŚŚ. Piotra i Pawła, p. Balona, Michała Archaniola p. Woydygy. Uznano, że modele są za małe i zaproponowano wykonanie innych za dwa tygodnie. Obok tego kommisja budowlana poprosiła p. Skoniecznego o wykonanie posągów Św. Anny i Św. Teresy, a p. Niewiarowskiego o modele postaci ŚŚ. Leona i Wincentego à Paulo. Oceną zajmie się kommisja wraz z zaproszonymi artystami: Buchbinderem i Malatyńskim.

— Rzeźbiarz Woydyga wykonał w glinie popiersie ś. p. Dra Krajewskiego Władysława, które odlane zostanie w bronzie i umieszczone w pomniku wykutym z marmuru. Podobieństwo rysów, charakter, wyraz oblicza doskonale uchwycy.

— Zarząd Salonu Artystycznego na Nowym Świecie, oraz kilku malarzy naszych otrzymało zamówienia na obrazy religijne do kilku kościołów.

— W kościele Św. Krzyża prowadzą się roboty koło urządzenia nowego wejścia do świątyni przez ogród. Obecnie wejście to będzie służyć jedynie dla duchowieństwa miejscowego, lecz w razie natłoku użytkować z niego będzie i modląca się publiczność.

— W Krakowskiej Akademii Umiejętności odbyło się pod przewodnictwem prof. Rastafińskiego posiedzenie kommisji fizyokratycznej. Przewodniczący zawiadomił zebranych, że tom XXVI sprawozdań kommisji już jest wydany, druk tomu XXVII na ukończeniu a tom następny już się dru-

kować rozpoczął. Atlasu geologicznego Galicyi wydano zeszyt 4 i wydrukowano mapy do zeszytu 5.

— Na wystawie budowlanej we Lwowie mają być wystawione plany kanalizacji Warszawy, o których nadesłanie magistrat lwowski zwrócił się z prośbą do prezydenta Warszawy.

— Gmina lwowska wysłała zagranicę dyrektora urzędu budowniczego, Hochbergera i prof. Cieslewskiego z celem zbadania urządzeń tramwaju elektrycznego, o którego zaprowadzenie we wspomnianem mieście zgłosiło się zawiązane w tym celu towarzystwo akcyjne. Magistrat przedstawił Radzie Miejskiej wniosek: czy tramwaj elektryczny ma rację bytu we Lwowie?

— Grek, professor matematyki przy gimnazjum ateńskim, Dr Damaskin, zapragnął dostać się do bieguna północnego dla studyów naukowych, ale dotychczas odbywane wyprawy na lodziach lub saniach nie przedstawiają dostatecznie bezpiecznego i nienużącego sposobu podróży. Para mogła tylko dać tu łatwiejsze i pośpieszniejsze dotarcie do celu, więc w tym kierunku zwrócili się poszukiwania uczonego Greka, który ostatecznie postanowił przebyć pola lodów podbiegunowych na lokomotywie własnego wynalazku. Ma ona być zaopatrzona w metalowe koło żłobowane, mogące się przesuwac z łatwością po gładkim, jak szkło gruncie skamieniałej od mrozu ziemi. Do tych kół przymocowane-by były szyny, które wbijałyby się same za pomocą odpowiedniego mechanizmu w powierzchnię lodową, tak że ruch naprzód mógłby nie ustawać. Maszyna poruszana-by byłaby parą, która według systemu amerykańskiego szerzy zarazem o tyle ciepła, że podróżnicy nie doświadczałiby siły panującego tu mrozu. Do lokomotywy byłby przyczepionym jeden tylko wagon, zawierający instrumenta fizyczne i zapasy żywności.

— Na wystawie monachijskiej kartony Matejki do kościoła Najświętszej Panny w Krakowie obudziły uwielbienie, również zachwycają się tutaj niewielkim obrazem Jacka Malczewskiego i krytyka zaczyna już pisać o sztuce naszej. Ogólnie brana wystawa nie przedstawia się imponująco. Dr Schmid, piszący krytyki dla Berlina, wyraża się ogólnikowo, że jest tu dużo dobrych, nawet bardzo dobrych obrazów, trafnie obserwowanych; dobrze malowanych studyów—ale nie nadto. Najwięcej miejsca poświęcił on uwagom nad kolosalnym obrazem francuskiego malarza Rochegrosse: „Upadek Babilonu.“ Pisząc o nas wymienia, że jesteśmy bardzo licznie reprezentowani, zwraca uwagę na Brandta, wspomina o Kowalskiego „Wilkach w polu.“ Znakomitym nazywa obraz Fałata, przedstawiający „Powrót z polowania na niedźwiedzia“ w postaciach naturalnej wielkości. Matejkę traktując jako malarza historycznego, dającego się od razu poznać po staroświeckim i jakoby przydymionem pokryciu i malowaniu płamistym, dziwiąc się jak przy takich środkach umie wywoływać tak silne wrażenie, ruch i plastykę, jakkolwiek brakuje jego obrazom powietrza i światła.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się: Arkusz 9-ty powieści pod tytułem *Złudzenie i rzeczywistość*, przez Beatrycę Whitby. Przekład z angielskiego.

TREŚĆ: Pogawędka, przez Quisa.—Nie trwóż się! przez J. Nitowskiego.—Krzysztof Kolumb (dalszy ciąg).—Notatki pedagogiczne.—Pierzeliwy ptak, powieść, przez Kazimierza Glińskiego (dalszy ciąg).—Nowiny paryżskie (dokończenie).—Z bieżącej chwili.

Dodatek obejmuje: Arkusz 9-ty powieści pod tytułem *Złudzenie i rzeczywistość* przez Beatrycę Whitby. Przekład z angielskiego. Przegląd mód. 21 wzorów i robót z opisem.—Sekreta gospodarskie.—Dyspozycja stołu.

PRZEGLĄD MÓD DZIECINNYCH.

Materyały, kolory i fasony dla mniejszych dziewczynek i dla starszych panienek, zwanych podłotkami. — Jak ubierać należy chłopców małych i starszych. — Materyały i fasony. —

Pismo nasze obfituje w wielką ilość wzorów i rycin dziecinnych tualet, z których każda matka własnymi rękami, podług dołączonych na tablicy krojów, wykonywać w domu może. Obecny sezon i w tej dziedzinie przyniósł mnóstwo nowości, wśród których rozsądnie wybierać należy, bo wszelka ekscentryczność w ubraniu dziecka bywa śmieszną, odejmując mu powab prostoty. Jako materyały, używane są najczęściej bawełniane tkaniny w kolorach jasnych, gładkie lub w deseń, a mianowicie: kolor ponsowy, niebieski, granatowy, crème, różowy, poziomkowy i tak zwany „bleue amiral“. Dalej lekkie wełniane muśliny, bengaliny i cienki kaszmir. Dla starszych panienek, szewiot jest zawsze najpraktyczniejszym materyałem, już to przy nauce, już to przy bezustannych i fatygujących ruchach. Na ubrania strojniesz, mówimy o starszych, używają satinek w rozmaitych kolorach, w wyjątkowych uroczystościach: fularu, wełny krepowanej, lub nawet „surah“.

W ogóle ubrania małych panienek a nawet podłotków, powinny nosić odrębny swój charakter i o wiele można unikać naśladownictwa mody osób starszych — w tej mierze anglicy i amerykańanie najczęściej okazują praktyczności, przybierając dzieci w suknie lekkie, wygodne, bynajmniej nie krępujące ruchów i niezbyt krótkie; staniki formą bluzkową przepasane szerokim pasem lub gorsecikiem z ramionczkami czy szelkami dla przytrzymywania; bluzy z kaftanikami czyli marynarskie. Dla małych dziewczynek do 3 lat jest niemal regułą wybierać jak najprostsze i jak najwygodniejsze formy a całą ozdobą sukienki, stanowią drobne zakładki falbaneczki lub haftowane szlarki. Dla starszych panienek używają w a z k i e h wstążeczek lub aksamitek do naszywania, ale i to bardzo umiarkowanie, jako ozdoby niepotrzebne a kosztowne. Strojniejsze sukienki zdobią koroneczką nicianą lub imitacją walcenienną.

Na płaszczyki dziecinne od deszczu kurzu, kaftaniki, pelerynki, używane są te same materyały jak dla osób starszych, a nawet można powiedzieć mniej więcej tej samej formy. Materyały angielskie gładkie lub w kraty są w tym celu najczęściej w użyciu, oprócz tego szewiot i koreiki. Sukno służy na okrycia dla starszych panienek. Robić je należy bez żadnych pasmanterii, co najwyżej z falbanką wycinaną w zęby.

Ubrania chłopczyków mniej są urozmaicone a z chwilą, gdy małe zdobywa postawę męską pierwszemi m a j t k a m i i kurtką, sukienki fal-

dziste muszą już być zarzucone, ma to zwykle miejsce w wieku lat 4 — 5. Kurtki winny być wygodne, dobrze do figury dopasowane i przepasane pasem skórzanym z klamrą. Ubrania marynarskie pozostaną jeszcze długo najulubieńszą formą dla chłopczyków do lat 9-ciu, następnie zastępują je kompletnem ubraniem, złożonem z krótkich majtek, kamizelki, kurtki i ubiorku. W 12 roku życia, w którym to chłopiec najczęściej rośnie i rozwija się, używane są już długie majtki. Jako materyały dla małych chłopczyków najwłaściwszymi są szewioty, dla starszych zaś materyały angielskie w rozmaitych kolorach, mieszane z innego odcieniu nitką.

Okrycia przeważnie noszą z pelerynami jedna na drugiej od 3 do 5 pelerynek.

W ogóle powtarzamy raz jeszcze, w ubraniach dziecinnych należy przeważnie myśleć o ich wygodzie i usuwać wszelkie niepotrzebne dodatki — w tem polega największy obecnie szyk i objawia rozum matki.

L. C.

Kapelusz dla panienki od 5 — 7 lat.

Rycina Nr 4 w Bl. Nr 28.

Kapelusz z grubej słomianej pleśni koloru granatowego z niską główką i rondem wyginanym. Główka pokryta materyałem wełnianym tegoż koloru, ułożonym w fałdy podług ryc., 3 ponsowe jedwabne pompony zdobią tylną część i 3 przednią. Kotwica wykonana jedwabiem ponsowym.

Ubranie do kąpieli dla panienki od 6 — 8 lat.

Ryc. Nr 17 w Bl. Nr 28. (Kr. odwr. str. tabl. Nr IX, fig. 53 — 57).

Skrajać z barchanu białego w niebieskie grochy fig. 53 po dopełnieniu złożenia tejże, z uwzględnieniem konturu przedniej części stanu 2 części złożone wzdłuż środka. Po zmarszczeniu dolnych części od dwukropka do dwukropka obszyć takowe falbanką 10 c. szer. i zeszyć każdą część od 28 do 29, oraz przednie połowy od 29 do 30, tylne od 29 do 31. Do prawego przedniego brzegu przyszyć klapkę z dziurkami a do lewego listewkę z guzikami, a górną część zmarszczyć aż do miejsca oznaczonego †. Wykonać karczek podług fig. 54 i 55 z materyału podwójnie złożonego i połączonego podług cyfr, wszyć takowy w stan, obejmując niebieską wypustkę. Wszyć rękawy skrajane podług fig. 57 z materyału złożonego wzdłuż środka, oraz kołnierz otoczony wypustką. Pasek wykończyć całość podług ryc.

Suknia z materyału jedwabnego „changeant“.

Ryc. Nr 23 i 24 w Bl. Nr 28. (Kr. pierw. str. tabl. Nr I, fig. 1 — 12).

Suknia z materyału jedwabnego „changeant“ koloru niebieskiego z ponsowym w rzucane grochy koloru ponsowego. Skrajać z materyału i z podszewki fig. 1 i 4 po jednej części złożonej wzdłuż środka; fig. 2 i 3 po dwie części. W fig. 1 i 2 wykonać wskazane fałdy; połączyć części podług cyfr i znaków. W fig. 3 wykonać nacięcie na rozporek z lewego boku. Umocować w fałdy 2 † na kropce i górny brzeg otoczyć wypustką. Dolny brzeg przybrany falbanką 11 c. szer., skrajaną ukośnie z bufką w środku; górny brzeg gorsecika otoczony falbanką 4 c. szer. z materyału podwójnie złożonego, zwężoną ku końcom. Niebieskiego koloru wstążka 6 c. szer. wykończy podług ryc. całość stanika. Stanik skrajać z podszewki podług fig. 5, 7 — 9 po dwie części, podług fig. 11 rękawy. Z materyału fig. 6 dwie części, fig. 10 jedną część, fig. 12 dwie części złożone wzdłuż środka, ale w fig. 11 i 12 zwrócić uwagę na kontur spodnich części rękawa. Po wykonaniu zaszepek w przednich częściach z podszewki, oraz małych fałd, wyłożyć części materyału wzdłuż linii, umocować 4 † na jednej kropce, oraz † oznaczone literą a na kropce a; zmarszczyć dwa razy u wycięcia szyi, oraz na ramionach od * a do * b, stosownie do potrzeby i przyfastrygować do podszewki. Następnie ułożyć w fałdy plecy z materyału, mocując 2 † na odpowiednich kropkach przyfastrygować do zeszytych przedtem pleców i drugiego boczka; pierwszy boczek pokryć materyałem i połączyć plecy, boczki i przednie części podług cyfr. Po przyszyciu kołnierza stojącego, pokryć takowy wstążką niebieską, która się zapina pod kokardą na lewym ramieniu. Zmarszczyć górny brzeg podszewki rękawów od * do *, połączyć z spodnimi częściami, zmarszczyć rękawy z materyału od





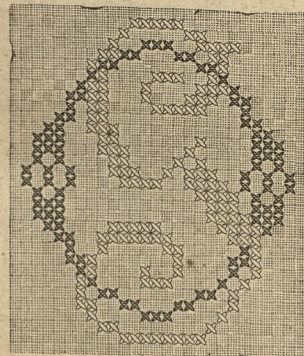
Nr 4. Suknia z materiału jedwabnego „changeant“.

* do *, jako też pomiędzy liniami, przyszyć podług cyfr i znaków do podszewki, oraz wzdłuż linii. Dolny brzeg pokryć w rodzaju mankieta materiałem i podkładem, przepasać wstążką i wszyć w stanik, trafiając w 20 na 20.

Suknia ozdobiona sutaszem (façon tailleur).

Rycina Nr 25 i 22 w Bl. Nr 28. (Krój pierw. str. tabl. Nr V, fig. 31—38).

Suknia z materiału wełnianego koloru piaskowego, ozdobiona sutaszem jaśniejszego i ciemniejszego koloru. Spódnica 108 c. dług. z przodu a 115 c. z tyłu, podszyta całą materiałem jedwabnym. Dolny brzeg przybrany sutaszem podług deseni fig. 38. Stanik skrajac z materiału i z podszewki po dopełnieniu złożenia fig. 31 podług fig. 31—35 po dwie części. Podług fig. 37 rękawy z uwzględnieniem spodnich części. Podług fig. 36 jedną część złożoną wzdłuż środka, zaopatrzyć przednie części podkładem i wykonać zaszewki. Po-



Nr 13. Monogram (ścieg krzyżowy).

łączyć plecy, boczki i przednie części podług cyfr, ale z prawego boku nie wykonywać szwu od 61 do 62. Wyłożyć 2-gi boczek wzdłuż linii zgięcia, oraz prawą część pleców wzdłuż gładkiej linii, do prawego boczku przyszyć odpowiednią część materiału i podszewki z podkładem i przesyć plecy z uwzględnieniem ryc. Nr 22. Po przyszyciu kołnierza podług cyfr i znaków ozdobić takowy podług ryc. sutaszem podług deseni spódnicy, zmniejszając figury stosownie do potrzeby. Połączyć rękawy, dolny brzeg zaopatrzyć podkładem, zmarszczyć od * do * i wszyć w stanik, trafiając w 71 na 71.

Suknia z fularu ozdobiona koronką.

Rycina Nr 27 w Bl. Nr 28.

Suknia z fularu koloru niebieskiego w biały deseń, cała podszyta alpaga. Dolna część otoczona falbanką 10 c. szer. z główką 2 cent. szer. Stanik bluzkowy, zapinany z boku z krótką baskiną włożoną pod spód, może być skrajany podług ryc. należącej do ryc. Nr 23 i 24, krój fig. 5—10, ale przednie części z materiału zeszyć wzdłuż przedniego brzegu. Całość wykończona podług ryc. koronką 26 c. szer. i 215 c. obwodu, na ramionach ułożona nieco bufiasto. Pasek z niebieskiej atlasowej wstążki, otoczony jaśniejszą wypustką, spięty z tyłu pod kokardą.

Kapelusz ogrodowy z pletni fantazyjnej.

Rycina Nr 28 w Bl. Nr 28.

Kapelusz okrągły z pletni fantazyjnej koloru granatowego i żółtego. Spodnia część podszyta gazą jedwabną fałdowaną koloru żółtego. Przybranie zaś stanowi wstążka koloru granatowego 8½ cent. szer. i pęk różowych stokrotek.

Kapelusz ogrodowy z pletni fantazyjnej.

Rycina Nr 29 w Bl. Nr 28.

Kapelusz okrągły z grubej słomianej pletni koloru brązowego, podszyty czarnym tiulem układanym w fałdy. Przybrany wstążką 12½ cent. szer. w białe i wąskie różowe paski. Różowe i żółte chryzantemy zdobią tylną część ronda.

Bluzka z materiału jedwabnego i pasek.

Rycina Nr 31 i 32 w Bl. Nr 28.

Bluzka z materiału jedwabnego „changeant“ koloru zielonego z różowym, ozdobiona karczkiem czarnym koronkowym i przy krótkich bufiastych rękawach falbaną koronkową. Uzupełnia bluzę pasek ze złotej wstążki i złożoną klamrą.



Nr 9. Suknia dla młodej osoby.

Nr 10. Suknia spacerowa z „faillé“ i aksamitu.



Nr 6. Suknia z beżu i aksamitu przybrana dzetą.

Nr 7. Suknia z muszki „surah“ (Opis p. 10).



Nr 8. Kapelusz z batystu dla małej panienki. (Krój odwr. str. 129, fig. 75 i 76).

Bluzka z fularu.

Rycina Nr 33 w Bl. Nr 28.

Bluzka zaopatrzona podszewką, wykonana z fularu koloru białego w rzucane grochy niebieskie. Pasek z bawetem, kołnierzyk wykładany, mankiety z tegoż samego materiału, oraz krawatka podługryce.

Suknia z fularu i kapelusz z bastu.

Rycina Nr 35 i 36 w Bl. Nr 28.

Suknia z fularu koloru niebieskiego, złożona z spódnicy całej, podszytej lekkim wełnianym materiałem i otoczonej 3-ma falbankami plisowanymi na maszynie i ze stanika wykonanego podług ryc. Przednia część górna oraz tylna, ozdobiona częścią haftu. Kołnierzyk stojący haftowany. Kapelusz z pletni bastowej koloru czarnego. Rondo nieco wygięte. Główkę otacza szeroka wstążka koloru niebieskiego, ułożona z boku w sutą kokardę.

Suknia z batystu ozdobiona haftem

Rycina Nr 37 w Bl. Nr 28.

Suknia z batystu koloru białego, złożona z spódnicy, bluzki i gorsecika. Spódnica podszyta całą satynką bawełnianą koloru białego, dolna część otoczona haftowaną falbaną, powyżej której odpowiednia wstawka. Bluzka bez podszewki, zmarszczona w górnej części a w dolnej ściągnięta na tasienkę. Kołnierzyk stojący haftowany. Rękawy bufiaste. Gorsecik zapinany, przybrany podług ryc. haftowanymi wstawkami.

Suknia z beżu i kapelusz z lyczka.

Rycina Nr 38 i 39 w Bl. Nr 28.

Suknia z beżu koloru tabaczkowego, przybrana pasmanteryjnym galonem w kolorze ciemniejszym. Stanik podług ryc. przybrany papiernikiem z „surah“ koloru „crème“, przybrany w dolnej części taśmą pasmanteryjną, związaną z przodu w węzeł a w tylnej części z końcami zkrzyżowanymi.

Kapelusz z pletni lyczkowej, przybrany krepą żółtą i wiązaną chryzantemów ponsowych i żółtych w przedniej i w tylnej części.

Kapelusz z batystu haftowanego dla małej panienki.

Rycina Nr 3. (Krój odwr. str. tabl. Nr XIII, fig. 75 i 76).

Skrajac z białego muszlinu fig. 75 i 76 po jednej części



Nr 11. Suknia z krepy wełnianej z pelerynką.

Nr 12. Suknia z długą bluzką. (Krój i op. pierw. str. tabl. Nr II, fig. 13 i 14).



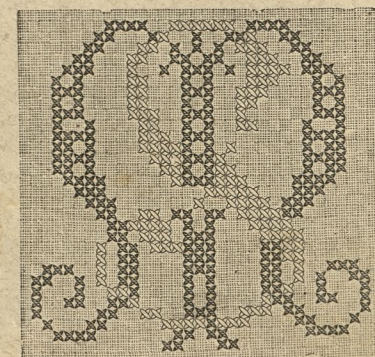
Nr 5. Suknia z bengaliny ozdobiona haftem

złożonej wzdłuż środka i wierzchnią część takowych pokryć gładko białą koronką, wewnątrz zaś petynetką, którą z przedniego brzegu ułożyć według potrzeby w fałdy. Zeszyć części od 67 do 68 i zaopatrzyć kapelusz podszewką z białego muszlinu, oraz przedni brzeg drucikiem. Połączenie główki (fig. 76) otacza przewleczone przez drucik koronka 19 c. szer., ścięta ku brzegom na 13 c., na co potrzeba 90 c. koronki, a co utworzy wysoko stojący puf, który należy raz jeszcze przemarszczyć na 7 c. odległości od dolnego brzegu. Brzeg zewnętrzny środkowy przymocować kilkoma ściegami do główki. Dolny brzeg 16 cent. szer. otoczyć falbanką 58 c. dług. a przedni brzeg otoczyć takąż samą koronką i 27 c. obwodu przewlec drucikami nadać potrzebną formę. Kokardy z wstążki 1½ cent. szer. i takież same końce do wiązania wykończają całość.

Suknia z materiału jedwabnego „changeant“

Rycina Nr 4.

Suknia z materiału jedwabnego „changeant“ jasno-zielonego koloru z niebieskim. Dolny brzeg spódnicy wycinany w łuki, tak jak i górny brzeg gorsecika



Nr 14. Monogram (ścieg „krzyżowy“).

stojący kołnierzyk i rękawy, wszystko otoczone galonikiem w kolorze materyału. Bluzka zapinana z lewego boku, uzupełniona gorscekiem. Rękawy bufiasto w górnej części ułożone, dalej w drobne zakładki.

Suknia z beżu i aksamitu przybrana dzetem.

Rycina Nr 6.

Suknia z beżu koloru popielatego, skrajana zwyczajnie i podszyta lekkim wełnianym materyałem. Prawy bok przybrany klinem z aksamitu czarnego, wykończonym frendzlą dzetową z figurami pasmanteryjnymi z dzetu. Stanik krótki z napierśnikiem z „surah“ koloru popielatego. Przednie brzegi stanika obszyte aksamitem w łuki wycinanym. Dolny brzeg stanika otoczony trendzlą dzetową, zwężającą się ku bokom.

Suknia z fularu surowego i aksamitu.

Rycina Nr 8.

Suknia do ziemi z fularu surowego, podszyta lekkim jedwabnym materyałem. Dolny brzeg spódnicy otoczony falbaną plisowaną i rolkami z tegoż materyału. Stanik w rodzaju bluzki; napierśnik z brązowego aksamitu i z tegoż aksamitu gorsce nieczyt wysoki.

Suknia wieczorowa dla młodej osoby.

Rycina Nr 9.

Suknia z „surah“ koloru „crème“, złożona z spódnicy gładkiej, zaopatrzonej podszewką. Stanik krótki wycięty „en coeur“ krzyżowy, przybrany podług ryc. wzdłuż wycięcia girlandą z fioletów. Szeroki pas z „surah“ koloru lila, i krótkie bufiaste rękawy wykończają całość.

Suknia spacerowa z „faille“ i aksamitu.

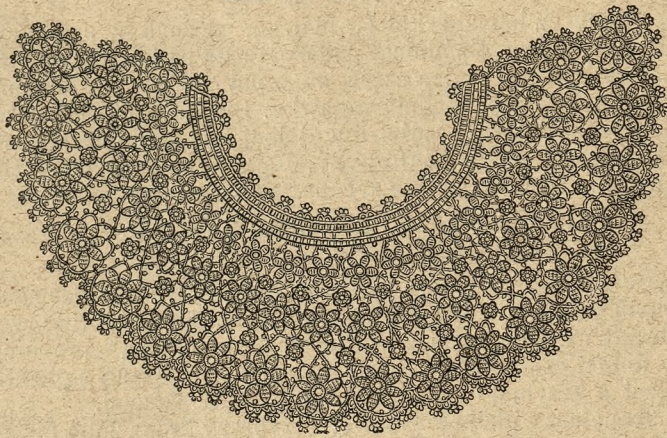
Rycina Nr 10.

Suknia z „faille“ koloru perłowego, przybrana nieco ciemniejszym aksamitem, złożona ze spódnicy z falbaną i z kaftanika z długimi połami, oraz z szerokimi wyłogami podwójnymi. Guziki z aluminium, kamizelka aksamitna.

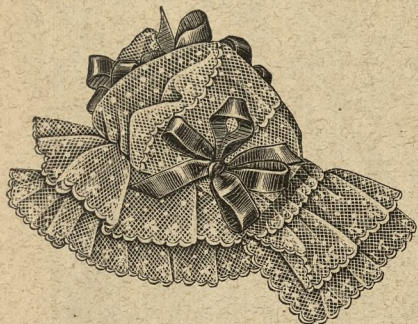
Suknia z krepy wełnianej z pelerynką.

Rycina Nr 11.

Suknia z krepy wełnianej koloru popielatego, ozdobiona materyałem jedwabnym haftowanym, złożone ze spódnicy z dużą falbaną, podszytą całą jedwabnym lekkim materyałem i ze stanika w rodzaju bluzki. Pasek „Médicis.“ Pelerynka z karczkiem haftowanym, otoczonym falbaną 20 c. dług., plisowaną na maszynie, nieco dłuższa w tylnej części.



Nr 15. Kołnierz dziecienny (robota szydełkowa) do ryc. Nr 16.



Nr 17. Ranny czepeczek z koronki i wstążki.



Nr 18. Stroik na głowę dla starszej osoby.



Nr 22 — 26. Buciki podróżne i spacerowe oraz pantofelek.



Nr 16. Część roboty szydełkowej do kołnierza Nr 15 (wielkość oryginalna).

PRZEPISY GOSPODARSKIE

Likier poziomkowy.

Nadzwyczaj aromatyczny jest likier poziomkowy. Wsypać w gąsior bardzo dojrzałych poziomków i nalać je na 12 godzin spirytusem 94%, stawiając je w cieniu. Po tym czasie zlać przez gęsty muslin spirytus, na każdą kwartę wzięść 2 funty cukru, biorąc na każdy funt kwaterek wody, zagotować na syrop 1 raz i gdy się warem gotuje zdjąć z ognia i w tej chwili w gotujący wlać zły spirytus. Wlać w wazę a gdy przestygnie ponalewać w butelki. Pozostałe poziomki przesypać grubo cukrem, zostawić ze 6 dni, póki cukier nie wyciągnie spirytusu, wtedy zlać przez rzadkie sito lub bardzo rzadki płócienny woreczek, nie nie wyciskając i w miarę tego, jak będzie słodki lub kwaśniejszy, zrobić nieco syropu a na kwartę tego soku dolać pół kwarty czystego spirytusu. Będzie to pośledniejszy likier słabszy, ale już aromatu pierwszej zlanej mieć nie będzie. L. C.

Obiad higieniczny.

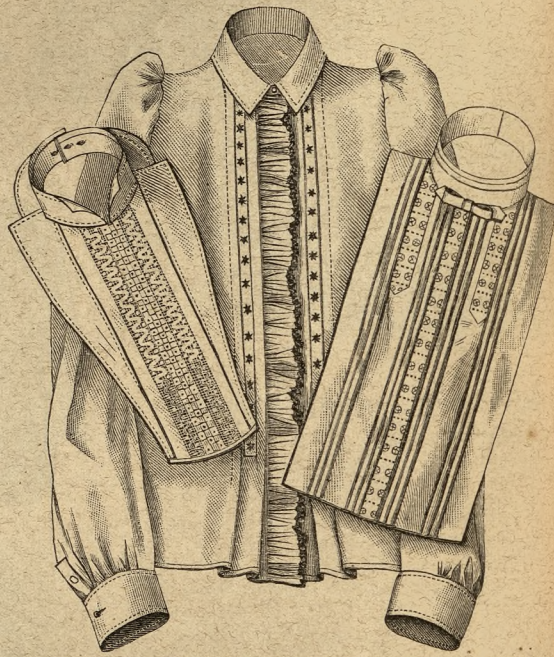
1. Zupa z czarnych jagód z grzankami.
2. Rozbeuf z kartoflami.
3. Kalafior „au gratin.“
4. Jarzabki z kompotem.
5. Ciastka z wiśniami.

U W A G A.

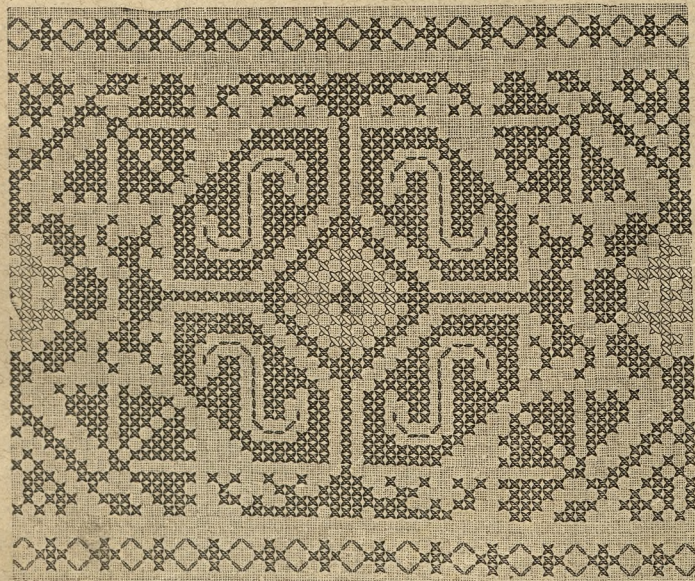
Tablica krojów, objaśniająca wzory ubiorów i robót w N-rze dzisiejszym dołączona była do zeszłego N-ru „Bluszczu.“



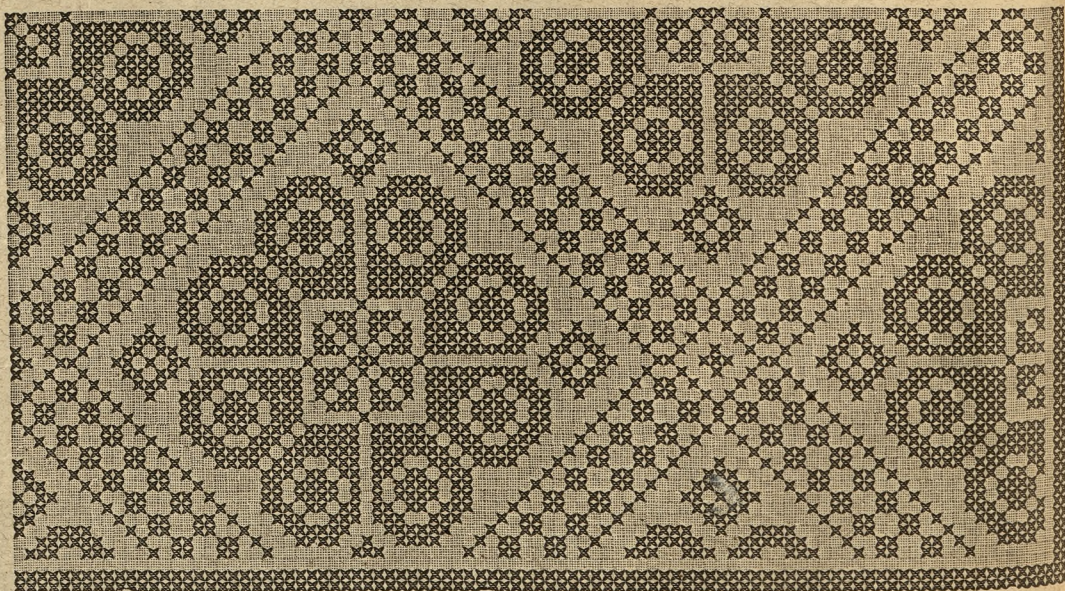
Nr 19. Baretka dla młodej panienki.



Nr 27—29. Koszula bluzkowa, półkoszulek i napierśnik. (Kr. odwr. str. tabl. Nr VII i VIII, fig. 46—52).



Nr 20. Część sz.aku do ręcznika Nr 6 w Bl. Nr 28. (robota krzyżowa i ścieg Holbejn'a).



Nr 21. Część haftu do dywanika Nr 5 w Bl. Nr 28.